Sczytane: Mirosława Sienkiewicz;
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz.

Dziennik
rok 1915: koniec kwietnia
Michał Römer
22 kwietnia / 5 maja roku 1915
Wilno
Tom VI

22 kwietnia / 5 maja, rok 1915, środa
W imię Aninki zaczynam. Niech myśl tego dziennika, jego idea żywa odpowiada wielkim ideałom i tęsknotom Jej nieśmiertelnego ducha! Niech służy dziennik świadectwem, żem wierny tradycji naszej, wierny Miłości, której śmierć nie pokonała i która przechowała w żywym stanie wszystkie elementy, tworzące istotę naszego, Aninko, świata. Nie zboczy Michasik z dróg Twoich, nie zdradzi tego, cośmy ukochali i co było hymnem Twojej tęsknoty i Twojej wiary.
Pisać będę dziennik regularnie po jednej stronicy na dzień. W ten sposób przekroczę w tym jeszcze zeszycie granicę, albowiem wyjechać pragnę w połowie maja. Paszport zagraniczny mam już w kieszeni. Będzie to więc ciekawy dziennik w tych czasach osobliwych, pisany w warunkach szerszego i dokładniejszego pola obserwacji, niż jakie tu mieć mogę.
Pogłoski, posuwające falę inwazji niemieckiej na Żmudzi i w Kurlandii do przesadnych kresów – do Rygi na północ i do Wiłkomierza na wschód – doszedłszy wczoraj do punktu kulminacyjnego, zaczęły dziś słabnąć i zaznaczać tendencję odwrotną. Rozpoczął się odpływ. Przede wszystkim, zimną wodą oblała pogłoski dzisiejsza depesza wodza naczelnego, studząc animusz przesady. Depesza ta stwierdziła, że Libawa i Mitawa są w ręku rosyjskim, że więc przesadne były pogłoski o zajęciu tych miast, ba – nawet Rygi. Niemniej z depeszy tej widać, że Niemcy są w najbliższym, bezpośrednim sąsiedztwie tych miast, jeno że nie forsują ich zdobywania. Stwierdzenie urzędowe tego faktu, zadające kłam pogłoskom poprzednim, dało tymże pogłoskom dziś bodźca do przesady w tendencji odwrotnej. Zaczęto mówić, że już Szawle są przez Rosjan odebrane i że Niemcy się cofają. Tymczasem olbrzymie masy wojska przewożą się zwłaszcza na Rygę; przez Wilno co 10 minut pędzą pociągi za pociągami, pełne wojska – *via* Dyneburg do Rygi. Wojska się biorą gdzieś pono z warszawskiego frontu. Pewna część wojska skierowuje się też przez Koszedery na Janów i Kiejdany, ale główna masa idzie na Rygę. Gdzieś tam w stronę Kolei Libawskiej na Żmudzi toczą się już jakieś potyczki, bo mówił mi jeden pan, który dziś przyjechał z Koszedar, że wczoraj przyszedł tam od strony Janowa cały pociąg z rannymi. Kto wie, co z tej operacji żmudzko-kurlandzkiej wyniknie: pisma rosyjskie z wielką pewnością twierdzą, że to ruch wyłącznie demonstracyjny bez szans poważnych, „Новое Время“ zaś oświadcza kategorycznie, że cała ta fala „ofensywy“ niemieckiej będzie w ciągu kilku dni zlikwidowana, to znaczy cofnięta ku granicy pruskiej.
Ostatecznie wojna ta toczy się bez żadnego decydującego postępu. Właściwie dziś, po dziewięciu miesiącach wojny, zaiste tytanicznej, wszystkie zagadnienia, które ona uwydatniła, są wciąż otwarte i trwają w takiej samej postaci, jak na początku. Właściwie niczego jeszcze wojna ta nie rozstrzygnęła kategorycznie i nic się w niej nie zbliżyło do rozwiązania.

23 kwietnia / 6 maja, rok 1915, czwartek

W dzisiejszym biuletynie wodza naczelnego są dwie wzmianki z terenu żmudzko-kurlandzkiego: 1) ukazanie się pod Libawą krążownika niemieckiego w otoczeniu drobnych statków i 2) „dyslokacja“ wojsk rosyjskich pod Rosieniami. Jak widać – nic nadzwyczajnego się nie stało i wyraźnych sukcesów rosyjskich nie ma. Co do wzmianki spod Libawy, to nie jest wykluczony fakt desantu. Cóż bowiem znaczą owe drobne statki, którym towarzyszy krążownik? Albo to są transportowce z „ładunkiem“ ludzkim dla desantu, albo trawlery do wyławiania min pod osłoną krążownika. Co zaś do wzmianki spod Rosień, to „dyslokacja“ może równie dobrze oznaczać rozwinięcie linii frontu walki, jak zajęcie przez Rosjan pewnych placówek po wyparciu z nich Niemców, jak wreszcie ewentualnie cofnięcie się Rosjan. Każdemu wolno się domyślać, czego chce lub co mu jego „kombinacje“ wnioskują. Natomiast coraz groźniej się przedstawia sytuacja Rosjan w Karpatach, poniekąd nad dolną Nidą i zwłaszcza nad Dunajcem. Już nie tylko z pogłosek i z ubocznych wieści ze źródeł niemiecko-austrjackich, o których się dowiadujemy z zaprzeczeń i sprostowań rosyjskich, ale nawet z własnych rosyjskich depesz widać, że ofensywa niemiecko-austriacka na tych frontach postępuje z wielkimi stratami Rosjan.

Jest dość ciekawa wiadomość. Zwrócono się dziś rano do mnie ze sfer Zarządu Miejskiego jako do prezesa Towarzystwa Straży Ogniowej Ochotniczej, z żądaniem przedstawienia w jak najkrótszym czasie listy strażaków wszystkich trzech oddziałów Straży. Lista ta jest potrzebna na użytek formującej się w Wilnie milicji na wypadek ewakuacji miasta przez władze. Okazuje się, że formacja milicji jest w toku i dokonywa się na żądanie gubernatora. Gubernator, po naradzie z dowódcą Dźwińskiego Okręgu Wojennego, do którego Wilno należy, generałem Tumanowem, zwrócił się do Zarządu Miejskiego z propozycją zorganizowania milicji. Władze wojskowe rosyjskie nie są jeszcze w stanie zorientować się ściśle co do charakteru i sił inwazji niemieckiej na Żmudzi i w Kurlandii; Rosjanie nie mieli i tu żadnych aeroplanów ani porządnej organizacji wywiadowczej, toteż byli tak zaskoczeni znienacka tą falą inwazji, iż sami nie wiedzą, co o niej sądzić; czołowa, przednia fala tej niezwykle szybkiej inwazji składała się z kawalerii, ale co jest za tą kawalerią na jej tyłach, czy tylko jakieś luźne oddziały piechoty i artylerii, czy też regularne jednostki kompletów bojowych i jakie oraz ile – czy np. jeden korpus, czy dwa, czy trzy korpusy, czy jeszcze więcej – tego nie wiedzą dotąd; nie wiedzą też, czy Niemcy na tyłach swojego ruchu okopują się już gdziekolwiek i gdzie, jaką jest rola pomocnicza floty w tej operacji, kędy i dokąd się kieruje główna siła uderzenia, czy ruch ten jest wyłącznie demonstracyjny, czy może tylko rekwizycyjny, czy też jest fragmentem planu strategicznego bądź zmierza do okupacji tych terytoriów. Dotąd Rosjanie działają tylko omackiem i, gotując się do czynnego starcia z falą inwazji, nie umieją jeszcze sami ściśle określić, z czym mieć będą do czynienia. Wojska już nawieziono dużo, zwłaszcza na Rygę, utarczki się rozpoczęły, rozpęd pierwszej fali niemieckiej zdaje się być wstrzymany, siły rosyjskie z dnia na dzień rosną przez posiłki (*notabene* posiłki te się biorą głównie z innych frontów, które się tą drogą osłabiają, uszczuplając swe rezerwy), ale dotąd rezultat, charakter i warunki operacji są wciąż jeszcze niepewne. Wobec tego, władze liczą się z możliwością nawet ewakuacji Wilna. Nie jest to pewnik bynajmniej, raczej więcej jest szans, iż to nie nastąpi wcale, ale bądź co bądź możliwość taka została przewidziana i widocznie poważniej jest przez władze traktowana, niż podczas poprzednich momentów krytycznych, jak na samym początku wojny lub we wrześniu lub pierwszych dniach lutego. Bądź co bądź bowiem, nigdy jeszcze nie powstawała z inicjatywy władz realnie sprawa organizacji milicji w Wilnie, jak powstała teraz. Gubernator zażądał, żeby w ciągu 10 godzin Zarząd Miejski przedstawił mu cały projekt gotowy organizacji milicji. Oczywiście że w tak krótkim czasie to się zrobić nie

dało. Gubernator zastrzegał jednak poufność tej sprawy, aby tego nie rozgłaszać, żeby nie wywołać przedwczesnej paniki. Ukryć jednak takiej rzeczy się nie da, bo zbyt dużo ludzi musi być powołanych do kierowniczej organizacji milicyjnej, a ci bądź co bądź muszą wiedzieć, o co chodzi. Czynność ta już się dokonywa. Miasto zostało podzielone na 20 cyrkułów i naczelnicy takowych już zostali mianowani. Jaki jest skład osobisty tej organizacji dowództwa cyrkułowego – nie wiem; z tego, co mi mówiono, domyślam się tylko, że w liczbie 20-stu cyrkułowych jest Witold Abramowicz i Domaszewicz. Cyrkułowi mieli już wczoraj posiedzenie i mają dziś; komendanta milicji dotąd, jak mi mówiono, nie zdołali jeszcze wybrać; cyrkułowi mają przedstawić kandydata na komendanta, mianować go zaś ma prezydent miasta. Cyrkuły mają się dzielić na podcyrkuły z odpowiednimi naczelnikami podcyrkułowymi; grupy zaś milicjantów mają mieć na czele dziesiętników. To dotyczy organizacji milicji posterunkowej, która ma być ewentualnie uzbrojona w pałki i na ramieniu ma nosić znak – opaskę białą z literą „M" (szczęśliwa litera, która dogadza tak rosyjskiemu, jak łacińskiemu alfabetowi) i z numerem cyrkułu i porządkowym. Opaski te już się szyją w pracowni bodajże Polskiego Komitetu Pań. Poza milicją posterunkową, utworzone zostają milicyjne oddziały lotne, których naczelnikiem mianowany został nasz naczelnik drużyny strażackiej – Jarocki. Do oddziałów lotnych powołany jest „Sokół" i nasza drużyna strażacka ochotnicza. W tym celu właśnie zażądano ode mnie spisów członków drużyny. Oczywiście też w tym celu żądał od nas w niedzielę gubernator szczegółowych wykazów całej organizacji Straży. Ponieważ Jarocki chwilowo nieobecny w Wilnie, więc zwołałem do siebie natychmiast naczelników naszych oddziałów strażackich – Bera, Siemaszkę i Jeremiego Łukaszewicza, powiedziałem im, o co chodzi, zastrzegając poufność i zażądałem ponownego przedstawienia spisów. Oczywiście więc sytuacja w Wilnie nie jest jeszcze zupełnie pewna. Bądź co bądź, instytucje rządowe otrzymały rozkaz być przygotowanymi do ewentualnego wyjazdu na dany sygnał. Sygnałem podobno ma być trzykrotny wystrzał armatni. Z chwilą sygnału rozpoczyna się ewakuacja urzędów i z tą chwilą milicja musi natychmiast zająć posterunki. Rzecz nie musi jednak stać zbyt krytyczna, skoro gubernator żądał jeszcze nieujawniania formacji milicyjnej. Widocznie chodzi jeszcze tylko o organizację nowego dowództwa milicyjnego, ale jeszcze nie o kompletowanie kadrów szeregowych. Należy uznać, że władze jednak w tym razie zachowały się przyzwoicie i sumiennie, skoro zawczasu się troszczą o organizację ładu i bezpieczeństwa miejskiego, nie wydając miasta na los przypadku i niespodzianek. Nie spodziewałem się tego po nich. Gubernator uprzedził jednak panów z Zarządu Miejskiego, żeby kadry milicyjne były formowane z elementów lojalnych i aby ekscesów nie było, bo: „Możemy być zmuszeni do opuszczenia miasta, ale proszę pamiętać, że my wrócimy".

24 kwietnia / 7 maja, rok 1915, piątek
Przesiedziałem większą część dnia w Sądzie Okręgowym. Choć jeszcze przysięgi adwokackiej nie składałem i przeto formalnie adwokatem „przysięgłym" jeszcze nie jestem, to jednak Sąd Okręgowy już mię urzędowo za takowego traktuje, obarczając mię obowiązkami prowadzenia spraw osób, korzystając z przywileju ubóstwa. Wyznaczył mi już dwie sprawy cywilne i jedną sprawę karną z urzędu. Dziś właśnie w jednej z tych spraw cywilnych stawać musiałem. Sprawa weszła na wokandę dopiero koło godz. 7 wieczorem. Cały więc dzień od godz. 10 rano musiałem przesiedzieć w sądzie, bezczynnie i bez obiadu, czekając wywołania sprawy.
Dzisiejsza depesza wodza naczelnego z wypadków na froncie żmudzko-kurlandzkim stwierdza tylko tyle, że odbyły się „pomyślne" dla Rosjan potyczki na południe od Mitawy i pod Bejsagołą oraz że pod Libawą miała miejsce wymiana strzałów między

rosyjskim wojskiem lądowym a torpedowcami niemieckimi. Pogłoski pomyślne dla Rosjan o Żmudzi nie ustają. Nasłuchałem się dziś takowych w sądzie od adwokatów, głównie Rosjan, którzy najczęściej albo się przesadnie lękają i pierwsi szerzą trwogę, albo znów równie przesadnie, z pewnością siebie, głoszą powodzenie oręża rosyjskiego. Mówiono tam więc, że Szawle i Rosienie są już odebrane przez Rosjan, że do Poniewieża wróciły już kowieńskie władze gubernialne. Pogłoski te, głównie o Szawlach, o których odebraniu mówią już od paru dni, gdyby się sprawdziły, byłyby już niewątpliwie stwierdzone w doniesieniach urzędowych, czego wszakże dotąd nic nie było. Może zresztą się jeszcze sprawdzą. Możliwość, a nawet prawdopodobieństwo tego nie jest wcale wykluczone. Po cichu wszakże, acz w niezbyt kategorycznej formie, błąkają się jeszcze pogłoski i wręcz przeciwne, wskazujące na jakieś ruchy Niemców już tu bliżej – ku Kiejdanom, Janowu i Koszedarom nawet. Dość dużo mówią o prawdopodobieństwie zajęcia przez Niemców Libawy. Jakieś były niewyraźne wieści o jakimś wypadku kolejowym pod Nową Wilejką (stacja i miasteczko „Nowo-Wilejsk" pod Wilnem); coś tam być musiało, ale co mianowicie, tego trudno dociec: jedni mówią, że most na rzece Wilejce uszkodzony, inni – że uszkodzony tor, że było jakieś wykolejenie pociągu wojskowego. Bardzo poważnie sytuacja wojenna przedstawia się w Galicji, na linii Dunajca i w Karpatach. Już od dłuższego czasu dochodziły wieści i pogłoski wpierw o wstrzymaniu ofensywy rosyjskiej w Karpatach, potem o klęskach rosyjskich, olbrzymich stratach, cofaniu się itd. Już z tonu depesz urzędowych, z czepiania się drobiazgów, unikania ścisłych określeń terenu walk – widać było, że się tam istotnie sprawa rosyjska zepsuła. Drogą uboczną, z depesz z państw neutralnych, z protestów, zaprzeczeń i sprostowań urzędowych rosyjskich – widać było, że w Niemczech i Austrii święcą się tryumfalnie zwycięstwa w Karpatach, że ilość jeńców rosyjskich jest olbrzymia, mniej więcej – zależnie od źródeł pochodzenia wiadomości – od 80 do paruset tysięcy. W ostatnich zaś czasach zaznaczyła się potężna ofensywa niemiecko-austriacka zwłaszcza na linii Dunajca, to znaczy między Wisłą a Karpatami. Raz przed kilku dniami była w depeszy wodza naczelnego wzmianka o przejściu i utrwaleniu się wojsk nieprzyjacielskich na prawym brzegu górnego Dunajca, potem o cofnięciu się Rosjan na drugą linię okopów, o przeważających olbrzymich siłach wroga, wreszcie dziś jest przyznanie się do znacznych strat na skutek przewagi ciężkiej artylerii przeciwnika i stwierdzenie, że siły jego pod potężną osłoną dział coraz bardziej się nagromadzają na prawym brzegu Dunajca; linia głównej walki określona miasteczkami Biecz-Jasło.

Teraz parę słów o moim odczycie wczorajszym w Klubie Bankowym. Nigdy nie chodziłem na zebrania odczytowo-dyskusyjne i pogadanki, urządzane w tym klubie systematycznie przez całą zimę. W ostatnich czasach Cywiński i gospodarze Klubu namawiali mię wciąż do wygłoszenia odczytu i prawie przemocą mię do tego skłonili. Zdecydowałem się na powtórzenie tu mego odczytu, który wygłosiłem w lutym w Klubie Rzemieślniczym. Odczyt ten miałem gotowy na piśmie, bo na skutek mego ustroju nerwowego nie umiem wygłaszać prelekcji ustnie, co mi nie przeszkadza potem w dyskusji przemawiać treściwie i ze swadą. Moja wprawa publicystyczna i umiejętne władanie głosem w czytaniu sprawia, że odczyty moje czytane są jednak żywe i wyraziste. Toteż powtórzenie mego odczytu z Klubu Rzemieślniczego nie sprawiało mi trudności, jeno że nie byłem pewny, czy odczyt ten będzie odpowiedni dla audytorium inteligenckiego i tak przekonaniowo mieszanego, jak publiczność Klubu Bankowego. W Klubie Bankowym toczy się stała walka dwóch obozów orientacyjnych – endecko-moskalofilskiego i niepodległościowego. Mój odczyt, którego tematem jest problem Niepodległości, nie dotyczy właściwie orientacji i metody programowej, jeno służy uzasadnieniu wielkiego postulatu ze stanowiska nade wszystko społecznego. Myśl jest

taka: Niepodległość w Rzeczypospolitej i w szczególności w Narodzie Polskim zmienia stopniowo, ale konsekwentnie swych rzeczników i rycerzy; niegdyś jej głównym rzecznikiem była szlachta i stany średnie, które, zwłaszcza szlachta, nie szczędziły ofiar dla jej zdobywania, podczas gdy lud był przeważnie obojętny bądź nawet wrogi, bo co mu było po Niepodległości i państwie w ręku pańskim. Stopniowo, w miarę postępów demokratyzacji, uspołeczniania się i uobywatelniania mas ludowych Niepodległość staje się „*par excellence*" postulatem demokracji, postulatem ludowym jako uwieńczenie i najwyższy wyraz samorządności i praw obywatelskich i zyskuje rzeczników w najbardziej uświadomionych i najwyżej społecznie rozwiniętych elementach ludowych, podczas gdy szlachta i jej elementy wsteczniejsze zwłaszcza – stygnie w swoim dla niej zapale, a nawet zgoła ją zwalcza, czepiając się, jak tego właśnie jesteśmy świadkami, moskalofilstwa, które, na skutek przynależności do obcego i uwstecznionego w swym rozwoju społecznym i kulturalnym państwa, gwarantuje jej, ściślej mówiąc – rzecznikom form przeżytych, dominację i władzę w Narodzie i społeczeństwie. Taką jest myśl przewodnia, której uzasadnieniu służy mój odczyt. Orientację rosyjską, czyli moskalofilstwo endecji i jej przyjaciół z prawicy traktuję nie jako przypadek pewnej niewiary tych elementów w możliwości zwycięstwa przeciwnej strony i zrealizowania Niepodległości w obecnych warunkach dziejowych, ale jako wyraz konsekwentnej ideologii elementów wstecznych.

25 kwietnia / 8 maja, rok 1915, sobota
Jeszcze parę słów o moim pozawczorajszym odczycie w Klubie Bankowym. Oczywiście takie traktowanie problemu Niepodległości i społecznej oraz kulturalnej natury moskalofilstwa musiało się nie podobać endecji, której wyznawcy istotnie byli wściekli. Nic tak nie drażni i nie gniewa, jak obiektywne rzeczowe wyłuskanie istoty i natury zjawiska, którego rzecznicy chcą ukryć takowe pod pozorami innego gatunku. Endecy chcieliby swoją grę moskalofilską upozorować niby przesłankami konieczności zwycięstwa Rosji nad Niemcami, sympatią dla koalicyjnych zachodnich sojuszników Rosji, nienawiścią do hakatyzmu pruskiego, bałamutną legendą o połączeniu rozerwanych zaborów Polski, niemniej bałamutną przyszłą „autonomią" pod berłem rosyjskim, niemożnością zdobycia Niepodległości zupełnej itd. Tymczasem faktycznie dzieło ich polega na organicznym wiązaniu sprawy polskiej ze zwycięską państwowością rosyjską i na udaremnianiu akcji niepodległościowej. Pod tym względem na samym początku wojny endecy zadali straszliwy cios niepodległościowej sprawie, cios, który jest dla niej najdotkliwszy ze wszystkiego, co mogło być zrobione. Ale przechodzą do mego odczytu w Klubie. Kierunek mego odczytu był społecznie bardzo radykalny, łączący sprawę niepodległościową ze sprawą ludową. Obawiałem się, że już samo to będzie działać odstraszająco na audytorium Klubu Bankowego, nie wyłączając zwolenników niepodległościowego postulatu. Dałem więc poprzednio mój odczyt do przejrzenia Cywińskiemu dla zaopiniowania, czy się nadaje do wygłoszenia w tym audytorium. Cywiński mię zapewnił, że tak, i wobec tego zdecydowałem się na wygłoszenie. Sala odczytowa Klubu była licznie wypełniona. Publiczność, jak tam zawsze, mieszana i różnolita: dużo uciekinjerów-inteligentów, całe rodziny, pracownicy bankowi, sporo młodzieży, nade wszystko zaś kobiety; ogromna większość przychodzi tu dla wrażeń, poniekąd dla sensacji dyskusyjnej, dla słuchania mówców może bardziej z punktu widzenia efektu, niż istotnej żądzy poznania prawdy i idei. Większości obecnych nie znałem wcale; ze znajomych moich byli: Ogiński, Kuczewski (uciekinjer z Suwałk, przewodniczył na zebraniu), Cywiński, Timiriaziew, Brzostowski, Bociarski, Mieczysław Niedziałkowski, Klass, adwokat kowieński Urbanowicz i jeszcze kilku. Ogółem było koło 40-50 osób. Odczyt mój budził wielkie zainteresowanie. Moja osoba

sama przez się jest znana i okrzyczana za radykała, „socjalistę“, niepodległościowca, skądinąd nawet za „litwomana“ (sic!), toteż dla szerokiej, a mało się orientującej publiczności szarych kół inteligenckich jestem jakąś osobliwością, która sama przez się jest zagadką i sensacją. Ponieważ zaś w ogóle rzadko się daję słyszeć na wielkich zebraniach publicznych, więc tym bardziej zaciekawienie było wielkie: co będę mówił i jak będę mówił. Szczególnie kobiety szły na ten odczyt jak na przedstawienie sensacyjne, by posłyszeć p. Michała Römera. W czasie zbierania się publiczności sam wciąż słyszałem za plecami mymi takie gawędy pań, które mię nie znały i nie wiedziały, że je słyszę. Więcej przeto chodziło większości o usłyszenie Michała Römera, niż o samą treść odczytu. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że sensacja nie jest wszakże jedyną dźwignią publiczności Klubu Bankowego i że oprócz niej i bodaj równolegle do niej działa też i istotnie zainteresowanie się wielkimi zagadnieniami tej wojny i w szczególności zagadnieniem sprawy polskiej. W odczycie moim uwzględniłem też oczywiście w problemie Niepodległości kwestię narodową litewską i białoruską oraz stosunku tych ziem do Polski, stawiając tezę federacyjną. Odczyt wygłosiłem, czyli raczej odczytałem bardzo wyraziście i przeto tak treścią, która mi się istotnie dobrze udała, jak formą wypowiedzenia i budowy, osiągnąłem efekt wielki. Większa część audytorium nagrodziła mię sutymi i długimi oklaskami. Za to jeden kąt sali, zajęty ławą przez endeków z adwokatem Bociarskim i inżynjerem Brzostowskim na czele, oraz niektóre rozproszone po sali jednostki endeckie, były wściekłe i oczywiście milczały. Przewodniczący zarządził przerwę. Endecy się kupili w gromadki, naradzili i żywo coś roztrząsali. Uprzedzano mię, że endecy gotują piorunującą dyskusję. Tymczasem gdy po przerwie przewodniczący wezwał mówców do zapisywania się do głosu, endecy jak grób milczeli i nikt z nich głosu nie zabrał. Oczywiście postanowili mię zbojkotować milczeniem, zaznaczając, że odczyt mój jest niegodny odpowiedzi. Parę osób wystąpiło z bezbarwnymi krótkimi przemówieniami i tylko adwokat Urbanowicz wszczął ze mną dłuższą dyskusję na temat orientacji, broniąc orientacji rosyjskiej ze stanowiska antygermańskiego. Endecy milczeli do końca. Jednak efekt, a nawet, jak mi potem opowiadano – furorę, odczyt mój sprawił wielkie tak wśród zdeklarowanych niepodległościowców, jak wśród publiczności przeciętnej, przekonaniowo bezbarwnej. Świadectwem zaś efektu, sprawionego na endeków, była ich własna złość. Nie powiem jednak, abym przywiązywał wielką wagę do tego odczytu i w ogóle do odczytów i pogadanek w Klubie Bankowym. W akcji tej jest nawet pewien moment demoralizacyjny: oto wytwarza się gadulstwo i przetapianie wielkich zagadnień na sensację frazesów; nawet ci tak zwani niepodległościowcy biorą fikcję za czyn i nagadawszy się do syta, nadręczywszy swoich przeciwników dyskusją lub obdarzywszy rzecznika idei niepodległościowej gorącymi oklaskami, łudzą się, że spełnili czyn, i sumienie ich się na tym uspakaja i zasypia; lepiej byłoby, gdyby sumienie ich, nienasycone gawędą, męczyło ich i grało pobudkę do ofiary czynnej, rzetelnej. Większość zaś po prostu oklaskuje tego, który lepiej ich sensację zaspokoi. Jest to małe błotko inteligenckie, dobre, serdecznie czujące, ale w gruncie jałowe, które nawet wielkość potrafi rozdrobić i przetrawić w dyskusyjnym gawędziarstwie przy szklaneczce herbatki z cytryną.
W depeszach dzisiejszych nic osobliwego. Komunikat wodza naczelnego powtarza znowu o odpieraniu Niemców w rejonie Mitawy, stwierdza rozrastanie się generalnej bitwy między Wisłą a Karpatami i mówi o ujawnieniu tu kilku nowych korpusów niemieckich, przerzuconych z innych frontów. Pogłoska o odebraniu Szawel przez Rosjan dotąd się nie potwierdziła.

26 kwietnia / 9 maja, rok 1915, niedziela

Depesza dzisiejsza wodza naczelnego w stosunku do wypadków żmudzko-kurlandzkich jest dla mnie zgoła niezrozumiała. Jest w niej wzmianka o odpieraniu Niemców na południowy zachód od Mitawy i o walkach w kierunku Poniewieża, Bejsagoły i Rosień. W jaki sposób pogodzić to z wieściami, tak uporczywie podawanymi w Wilnie, o rzekomym powrocie kowieńskich władz gubernialnych do Poniewieża i w jaki sposób mogą się Niemcy okazać pod czy w Poniewieżu, jeżeli Poniewież tworzy ostry klinowaty występ na wschód w stosunku do Bejsagoły i szosy Szawelsko-Mitawskiej pod Mitawą, gdzie przecie muszą być Rosjanie, skoro się tam toczą bitwy. Z depeszy tej mogłoby się zdawać, że Poniewież jest istotnie w ręku niemieckim. Tymczasem z listów Zysia Komorowskiego i Papy, które dziś nadeszły, dowiadujemy się, że w naszych rakiskich stronach nastało „uspokojenie“ i zacisze po okresie niepokoju i że przywrócony został ruch kolejowy z Kałkun, ale tylko do Poniemuńka, ponieważ dalej mosty są na torze uszkodzone. Depesza dzisiejsza oraz pogłoski, które znów napłynęły obficie o jakichś ruchach niemieckich w Żejmach i między Janowem a Wiłkomierzem, znów podniosły nastrój nerwowy w Wilnie. Nikt nie jest pewien dnia i godziny ewentualnego ukazania się Niemców w Wilnie. Myśl o ewakuacji Wilna przez władze i urzędy nie została bynajmniej zaniechana, owszem – wszystko jest na pogotowiu, na wylocie. Możliwość ewakuacji jest przewidywana. Obiegają jakieś niewyraźne pogłoski o ukazywaniu się nocami nad Wilnem jakichś aeroplanów czy zeppelinów – zapewne fałszywy alarm. W ogóle sytuacja jest dla wszystkich zagadką, a sensacja jest wielka. Istotnie – to Bejsagoła, to znów Poniewież, to Rosienie, to znów Żejmy i omalże nie Wiłkomierz, to Szawle niby odebrane przez Rosjan, to Nemcy w Janowie i pod Koszedarami. Pogłoski mieszają się, plączą i przeczą sobie wzajemnie, a wszystkie są w formie kategorycznej podawane, depesze zaś, jak oto dzisiejsza ze wzmianką o Poniewieżu, ostatecznie zbijają z tropu. Sprawa formacji milicji w Wilnie jest nadal w toku. Na tymczasowego komendanta milicji obrany został p. Feliks Zawadzki. Wczoraj widziałem w Zarządzie Miejskim w gabinecie wiceprezydenta p. Konrada Niedziałkowskiego pałki maczugi, które mają służyć do uzbrojenia ewentualnej milicji. Są to pałki długości niespełna arszyn, u góry węższe i rozszerzające się ku końcowi, wyrobione z drzewa brzozowego z ołowiem w środku.
W tejże dzisiejszej depeszy wodza naczelnego jest wieść z Karpat o przerwaniu się przez pierścień niemiecki jednej dywizji rosyjskiej, która była okrążona i odcięta w czasie odwrotu Rosjan na Duklę. Oczywiście, że to się podaje jako wielki triumf; że to jest czyn dzielny generała Korniłowa, który się zdołał wyrwać z zamkniętej czeluści niemiecko-austrackiej, to pewne, ale zapomina wódz nadmienić, ile dywizji, a może korpusów nie zdołało się przerwać i zostało pochłoniętych w niewolę. Pogłoski i uboczne wieści dużo o tym trąbią.
Wczoraj wieczorem u Domaszewicza odbyło się posiedzenie komisji finansowej Straży Ochotniczej z udziałem radnych miejskich, którzy są członkami Towarzystwa Straży. Byłem ja, Domaszewicz, Jarocki, Kowalski i Kokoszkin oraz radni Abramowicz, Michał i Jeremi Łukaszewiczowie i Reniger oraz członek Zarządu Miejskiego p. Ksawery Zubowicz. Chodziło o to, aby radni nasi porozumieli się z nami co do poparcia w Radzie zgłoszonego przez Zarząd Straży podania o subsydium w kwocie przeszło 2000 rb. Zdaje się, że teraz, gdy się tworzy milicja i gdy miastu może ewentualnie grozić niebezpieczeństwo, szanse nasze na otrzymanie subsydium są dobre. Akurat wczoraj wydarzył się wielki pożar, na którym nasza drużyna strażacka pod wodzą Bera spisała się bardzo dzielnie.

27 kwietnia / 10 maja, rok 1915, poniedziałek

W depeszy wodza naczelnego ważna wiadomości o wzięciu przez Niemców Libawy w dniu 25 bm., pozawczoraj. Napisano, że Libawa została zajęta przez wojska lądowe, poparte przez flotę, po krótkiej utarczce z oddziałami załogi rosyjskiej. Nie wiadomo, czy matka i siostra Aninki pozostały w Libawie, czy też uciekły gdzieś na wieś w okolice Hasenpotu, gdzie mają krewnych i dokąd Aninka czasem latem jeździła. Sądzę, że biedne kobiety raczej zostały. Boję się, że moje pieniądze, które na imię Żeni Wolberg wysłałem 16 kwietnia przekazem pocztowym w kwocie rb. 30, nie doszły już jej rąk, bo komunikacja bezpośrednia kolejowa już była wtedy przerwana, a dopiero w kilka dni potem ustanowiona została do czasu zajęcia Libawy komunikacja okólna przez Rygę czy Mitawę na Windawę i stamtąd przez Hasenpot. Ale była to już tylko komunikacja krótkotrwała i skomplikowana, służąca raczej dla uciekinierów i dla jakichś pilnych potrzeb ostatniej chwili w przewidywaniu rychłego najścia, niż dla funkcji normalnych. Zresztą uciekły już z Libawy władze i zapewne uciekła zawczasu poczta. Zapewne pieniądze Żeni Wolberg doręczone już nie zostały. Gryzie mię to, bo brzmią mi w pamięci słowa prośby Aninki, aby nie zapominał o jej biednej matce staruszce i siostrze ułomnej głuchej i bym się nimi opiekował. Przez niedołęstwo i niedbałość moją zostawiłem je w stanie zapewne ciężkim w takiej chwili, gdy pomoc jest im szczególnie potrzebna i gdy zostają od wszelkiej możności pomocy mojej odcięte. Bez żadnej racji i myśli zwlekałem z posłaniem tych pieniędzy, jak gdyby nie było żadnego powodu do niepokoju. Wybacz mi, Anineczko moja; wiem, żem winien i to mi jest najsmutniejsze. Wszak Twoja Mamuśka stara i delikatna biedna siostrzyczka – to są drogie kochane osoby dla mnie. Jeżeli tylko Libawa do czasu mego wyjazdu za granicę nie będzie znów przez Rosjan odebrana, to jedną z pierwszych czynności moich za granicą będzie postaranie się znalezienia jakiegoś sposobu do skomunikowania się z niemi i przesłania im do Libawy pieniędzy. W każdym razie postaram się tu jeszcze dowiedzieć na poczcie, czy pieniądze, przesłane obecnie, zostały im doręczone, czy nie.
W depeszy dzisiejszej jest jeszcze jedna wiadomość: że Rosjanie, odpierając Niemców od Mitawy, zajęli Janiszki na drodze (na szosie) do Szawel.
Pogłoska wczorajsza o Żejmach potwierdza się z autentycznych źródeł prywatnych, mianowicie od p. Antoniego Chrapowickiego z Michelmontu, naocznego świadka, który, zmykając przez najściem Niemców, dojechał obecnie do Wilna. Rzecz się miała tak. Generał rosyjski, stojący z oddziałem (czy sztabem) w Michelmoncie, obiecał Chrapowickiemu, że go ostrzeże, kiedy będzie groziło niebezpieczeństwo i trzeba będzie wyjeżdżał. Istotnie we czwartek czy piątek uprzedził, że ma być bitwa między Michelmontem a Bejsagołą i że w samym dworze Chrapowieckiego ma być ustawiona bateria. Chrapowicki kazał zaprząc konie i wyjechał w kierunku na Janów, z rodziną całą i trochę rzeczy, co naprędce zabrać zdołał. Liczył, że w Janowie wsiądzie do pociągu wojskowego do Koszeder, a stamtąd normalnie koleją do Wilna. Tymczasem po drodze w Żejmach zajechał do sąsiedniego majątku Kossakowskich. Tam go namówiono, aby zanocował, odradzając jechać wieczorem z dziećmi. Nie sądzono, aby już Niemcy tak prędko nadeszli. Tymczasem wkrótce pod wieczór nagle wpadło do dworu na motocyklach dwóch oficerów niemieckich, a rychło za nimi wkroczył liczny oddział kawalerii w sile 2000 ludzi. Zdziwienie ogarnęło wszystkich tym bardziej, że Niemcy nadciągnęli nie z zachodu, skąd się ich można było spodziewać, ale wręcz z przeciwnej strony, gościńcem od Szat, to znaczy od strony poniewieskiego i wiłkomierskiego powiatów. Okazuje się, że podczas gdy Rosjanie biją się z Niemcami nad Dubisą i między Michelmontem a Bejsagołą, kawalerja niemiecka harcuje sobie najswobodniej na tyłach rosyjskich, po powiecie poniewieskim i wiłkomieskim, wpadając do Krakinowa, do Szat, do Żejm, pod Traszkuny, pod Wiłkomierz i aż bodaj pod Szyrwinty, uwijając się żwawo, gdzieniegdzie przesuwając się lasami i bocznymi

drogami, nie pytając nikogo o drogę, omijając wszelkie posterunki rosyjskie itd. Jest to zaiste osobliwa swawola kawaleryjska, dzielna wszakże i oddająca z pewnością znakomite usługi akcji niemieckiej na Żmudzi. We dworze u Kossakowskich oficerowie niemieccy poprosili o kolację i po kolacji oddział wyruszył na stację Żejmy, gdzie uszkodził i wysadził w powietrze kawał toru kolejowego. Następnie Niemcy wrócili do dworu i oficerowie zanocowali w łóżkach we dworze. Podobno w tym samym łóżku, w którym od godz. 10 do 12 spał Chrapowicki, zalokował się po nim jakiś oficer niemiecki. Przed ranem wszakże Niemcy musieli otrzymać jakąś wiadomość alarmującą, bo nagle się zerwali i umknęli pośpiesznie. Podobno nazajutrz, tj. w sobotę, przyjechał do Żejm rosyjski batalion kolejowy i już w niedzielę tor był naprawiony. Był to jeden z epizodów herców niemieckich na tyłach rosyjskich.

28 kwietnia / 11 maja, rok 1915, wtorek
Dzisiejsza depesza wodza naczelnego stwierdza, że istotnie na tyłach wojsk rosyjskich, operujących na linii Bejsagoła-Kiejdany, harcowała kawaleria niemiecka, złożona z kawaleryjskiej Dywizji Bawarskiej i poparta przez pruski pieszy pułk gwardii. Depesza dodaje, że kawaleria ta została zaatakowana pod Żejmami przez kawalerię rosyjską i odpędzona na dziesiątki wiorst. Z Galicji Zachodniej depesza wodza określa front walki miejscowościami Wielopole-Nowotaniec i dodaje, że pod Krosnem Austriacy i Niemcy przeszli na prawy brzeg Wisłoki. Wnosząc z wymienionych miejscowości, ofensywa niemiecko-austriacka robi tam znaczne postępy, pędząc Moskali w kierunku Sanu. Wczoraj otrzymałem z poczty numer paryskiej gazety „Temps“ pod małą opaską, jak się zawsze dzienniki posyłają, z marką francuską i stemplem pocztowym z Paryża. Nie wiedziałem, co ma znaczyć ten numer, lecz, gdym go otworzył, znalazłem wewnątrz dwie kartki widocznie z jakiejś broszury lub artykułu z miesięcznika francuskiego, omawiające sprawę polską. Wówczas na adresie na opasce poznałem pismo dr Bolesława Motza z Paryża, który mi widocznie przysłał te dwie kartki dla zapoznania mię z akcją, którą prowadzą Polacy w Paryżu, i dla zrehabilitowania siebie co do posądzenia go przezemnie o moskalofilstwo. Dziś znowu przyszły z poczty dwa numery „Temps“ z takimiż kartkami wewnątrz; w jednym numerze były dwie kartki z tejże broszury, co wczoraj, jeno inne wczorajsze zawierały strony od 25 do 28, dzisiejsze – od 21 do 24), w drugim numerze kartki tegoż formatu z odpowiedzią niejakiego Balaszkiewicza do Gustawa Hervé‘go na czterech stronach w postaci otwartego listu do Hervé‘go na jego artykuł entuzjastyczny o polskiej polityce Rosji, drukowany w jego piśmie „La guerre sociale“ (artykuł Hervé‘go pt. „La torpille polonaise“ witał zapowiedziane „wskrzeszenie zjednoczonej Polski“ przez Rosję, jako rzekome hasło Rosji w tej wojnie i porównywał to wielkie hasło do torpedy, druzgocącej sprawę pruską; asumpt zaś do tego entuzjazmu wziął Hervé z ogłoszonej w styczniu formacji drużyn, czyli tzw. „legionów“ polskich w wojsku rosyjskim, dostrzegając własną fantazją na sztandarze tych mizernych poronionych drużyn Orła Białego na amarantowym polu). Tak odpowiedź Balaszkiewicza na artykuł Hervé‘go, jak kartki z tej drugiej, nieznanej mi z tytułu, broszury są pisane w duchu niepodległościowym i antyrosyjskim, lecz wybitnie koalicyjnym, i stanowią gorący apel do opinii zachodnich państw koalicyjnych w imię Niepodległości Polski. Sprawa polska łączy się tu ze sprawą Wolności, Sprawiedliwości i Prawa jako sprawa Sumienia Europy i jej przyszłości pokojowej. Wojna obecna traktuje się jako wielka historyczna krucjata w imię powyższych świętych haseł Cywilizacji i Ludzkości przeciwko Pruso-Niemcom, reprezentującym pierwiastek gwałtu, niewoli i brutalnych instynktów zwierzęcia ludzkiego. Rycerzem tej świętej krucjaty ma być koalicja, która przeto ma obowiązek spełnienia dzieła do końca, inaczej bowiem nie wykona swej misji Pokoju i

Braterstwa, nie zapewni Ludom szczęścia, nie wyzwoli Europy, a wraz z nią i siebie od Zła, z którym dziś walczy krwawo, czyniąc ostateczny porachunek dziejowy Ormuzda z Arymanem. Owóż jednym z pierwiastkowych elementów tej misji jest Niepodległość Polski, bez której nie może się ziścić dzieło koalicji. Broszura demaskuje Rosję, ostrzega przed jej instynktem zachłanności, który przeczy dziełu koalicji, uwydatnia obłudę polityki rosyjskiej w stosunku do Polski i Galicji, ilustrując ją faktami, i domaga się, by koalicja, w imię misji swojej, w imię świętych haseł, w imię dobra interesów Europy, Cywilizacji, Ludzkości, udaremniła tendencje rosyjskie i, łamiąc Prusy, jednocześnie narzuciła Rosji konsekwencje spełnionego dzieła. Taka jest idea przewodnia, konkretnym zaś postulatem: Niepodległość Polski. Na początku wojny doszło do mojej wiadomości, że Motz wraz z paryską kolonią polską bierze udział w tworzeniu „legionów" ochotniczych polskich w wojsku francuskim i politykuje na rzecz koalicji przeciwko sprawie austro-niemieckiej. W listach moich do Kochanowskiej wyraziłem z tego powodu zgorszenie, utożsamiając działanie to z moskalofilstwem. Motz napisał do mnie, protestując i dając do zrozumienia, że akcja jego nie moskalofilstwu, lecz sprawie polskiej służy. Odpisałem, że nie wątpię o intencjach, ale metoda i kierunek są, zdaniem moim, bałamutne i przeto szkodliwe. Widocznie chciał mię Motz przekonać i przysłał dowód żywy akcji. Nie przekonał mię jednak. Istotnie, natura akcji jest szlachetna i piękna, ale zgoła nierealna, oparta na iluzji. Nie mówię już o tym, że niepodobieństwem jest, by humanitarna koalicja zachodnia mogła nagle zaszczepić swe intencje i swe pierwiastki ukształconej kultury do pierwotnej natury rosyjskiej, tkwiącej żywiołowo i czynnie w jej państwowości. Natura państw i narodów, jak ich kultura, jest rzeczą ciągłą, nie zmienia się nagle z dnia na dzień i nie zna skoków niespodzianych. Jeżeli więc może być mowa o przeforsowaniu intencji i pierwiastków koalicji zachodnich demokracji do państwowego programu rosyjskiego, to tylko przez narzucenie ich przemocą sojuszniczce rosyjskiej. Na to zaś brak sił i środków u koalicji, która ledwie z pomocą Rosji jest w stanie wstrzymywać Niemców, a gdzież dopiero ich zwyciężyć. Gdyby zwycięstwo zostało osiągnięte nareszcie, to czy już nie tylko sił i środków, ale znalazłoby się chęci u koalicji do wydzierania Polski z paszczy rosyjskiej i do bezinteresownego szczepienia humanizmu i kultury do olbrzyma rosyjskiego. Wierzyć w to, aby Anglia z Francją, związane tytaniczną walką, miały się zajmować kulturalną tresurą Rosji – to zaiste fantazja.
To, co mi Motz przysłał, jest ciekawe, ale jałowe. Bądź co bądź, znalazł dowcipny sposób przesyłania, kładąc kartki do środka „Temps", cenzura rosyjska puszcza swobodnie numery „Temps" w opaskach, nie domyślając się, co jest w środku.

29 kwietnia / 12 maja, rok 1915, środa
Depesza wodza naczelnego powiada, że wojska rosyjskie podeszły do Szawel, które są wszakże w ręku niemieckim, i że toczy się tam bitwa. Ciekawe są w depeszy wieści z Galicji Zachodniej; powiada się, że na linii Strzyżów-Brzozów sytuacja Rosjan w toku bitwy była kiepska, lecz przez natarcie na prawe skrzydło niemieckie na linii Besko-Jaźmierz Rosjanie powstrzymali impet niemiecki na powyższym centralnym froncie, co umożliwiło wojskom rosyjskim „cofnąć się spokojnie na wskazaną im pozycję". Już linia Strzyżów-Brzozów-Besko (Jaźmierza na mapie nie znalazłem) jest położona na wschód od wczorajszych pozycji, określonych nazwami Wielopole-Krosno, a oto już i z tej linii Rosjanie się cofnęli dalej, nie określając tymczasem – dokąd. Już więc Moskale odparci zostali na pół drogi od Dunajca, nad którym zimowali, do Sanu. Wprawdzie dalej depesza wodza wspomina, że w „rejonie Dębicy" Rosjanie dokonali pomyślnego ataku na Niemców automobilami opancerzonymi, ale, zważywszy, że akcja automobilów opancerzonych nie ma charakteru walki frontowej i polega zwykle na

werznięciu się w środek masy nieprzyjacielskiej oraz że określenie „rejon Dębicy" jest rozciągłe, skądinąd zaś uwzględniając głębokie odejścia na wschód Rosjan w wyżej wymienionych podkarpackich miejscowościach, należy wnosić, że na głównej magistrali kolejowej od Tarnowa na Jarosław i Przemyśl front obecny musi być znacznie posunięty na wschód od Dębicy, gdzieś już bliżej Rzeszowa. Obyż tym razem ofensywa galicyjska, prowadzona z taką energią, dała wynik trwalszy. Galicja – to najboleśniejsza dla nas, najczulsza sfera tej wojny.
Od kilku dni przychodził do mnie Józef Mańkowski, b. redaktor „Kuriera Krajowego", uprawiający obecnie przygodnie publicystykę, dla wywiadu w sprawie stosunków polsko-litewskich dla ankiety drukowanej w warszawskim tygodniku „Świat". W pierwszej części tej ankiety Mańkowski podał głosy Litwinów, mianowicie Ludwika Giry, Bułata, p. Bortkiewiczowwej i Michała Biržiški. Obecnie zbiera wywiady u Polaków i ma podać głosy: Pawła Kończy, Józefa Hłaski, starego Stefanowskiego, Witolda Abramowicza, dr Juljusza Sumoroka, mój i Zasztowta. Dla ułatwienia i ścisłości dałem mu moją odpowiedź na piśmie. Zaznaczyłem, o ile warunki cenzuralne na to pozwalały, że zasadniczy klucz do wniosków o polsko-litewskich stosunków mieści się w rezultatach tej wojny, dotąd niewiadomych, ściślej – w zwycięstwie czy to postulatu Niepodległości, czy zaboru rosyjskiego, podkreślając że w razie urzeczywistnienia tezy orientacji endeckiej, to znaczy moskalofilstwa, wnioski dla sprawy polsko-litewskiej muszą być, moim zdaniem, najfatalniejsze. W dalszym ciągu dotknąłem konkretnie dwóch najboleśniejszych i najcięższych momentów kwestii tych stosunków: kwestii Wilna i kwestii wschodnich kresów litewskiego terytorium etnograficznego. Do wywiadu Mańkowski zażądał fotografii mojej; dałem mu ją; podobizny wszystkich autorów „głosów" w ankiecie mają być w „Świecie" reprodukowane.

30 kwietnia / 13 maja, rok 1915, czwartek
Kilka słów o bieżących wypadkach wojny. Jak doniosła depesza dzisiejsza, Niemcy zostali wyparci z Szawel. W Galicji Zachodniej Rosjanie, jak powiada depesza, cofali się na północ od Lutowisk. Na granicy galicyjsko-bukowińskiej Rosjanie chwalą się zajęciem Zaleszczyk, w których, o ile nam wiadomo, stale byli Rosjanie, a więc chyba Zaleszczyki były niedawno odebrane im przez Austriaków, o czym przemilczano skromnie do czasu ich odzyskania.
Teraz wspomnę o jednej bardzo przykrej rzeczy, która może mieć nader smutne konsekwencje. Dotyczy to biednej Maryni. Elizka Komorowska wraz z Marynią starały się od dłuższego czasu o pozyskanie dostawy do intendentury. W jesieni Marynia dostała w intendenturze względnie drobną jednorazową dostawę nauszników dla armii. Zorganizowała całą watahę szwaczek miejscowych, którym rozdała robotę szycia nauszników podług wzoru, z materiału, sprowadzonego przez Żydków. Ogółem dostarczyła, zdaje się, 35000 sztuk nauszników w ciągu paru tygodni, na czym zarobiła kilkaset rubli. Zachęcona powodzeniem, starała się o nowe dostawy, ale to się jej nie udawało. Intendentura nie lubi intruzów przygodnych w swojej robocie. Ma ona całą armię swoich spekulantów, zauszników i faktorów, z którymi do spółki operuje, oczywiście dzieląc się zyskami i łapówkami, a z pewnością okradając przy tym skarb i armię. Jest to świat, pełny brudu i spekulacji, gdzie ręka rękę myje. Niebezpiecznie świeżemu człowiekowi ze strony próbować się tam wcisnąć. Na intruzów ma się tam tysiące sposobów, by udaremnić im udział w pracy, zniechęcić, w ostateczności przyprawić o straty albo ukarać w jeszcze gorszy sposób. Bezkarnie się w śmietnisko nie wchodzi; tylko żuki gnojowe umieją się babrać w nawozie, pozostając z pozorów zewnętrznego wyglądu czyste i błyszczące; jest to ich natura, ich żywioł. Dla pozorów

intendentura dopuszcza czasem do dostawy, zwłaszcza w drobnych rzeczach, osoby prywatne spoza kliki lub instytucje dobroczynne, dla wykazania swojej bezinteresowności. Tak oto i Marynia była dopuszczona, bez żadnej łapówki, najuczciwiej i zainkasowała swój drobny zysk. Na tym trzeba było poprzestać. Zwłaszcza zaś wara osobom czystym i nie należącym do kliki od imania się środków, które są kliki przywilejem, jak przekupstwo; trzeba umieć to robić, trzeba znać wszystkie arkana wewnętrznego ustroju kliki, aby się na to ośmielić. Inaczej można się zgubić, bo klika nie darowuje intruzowi jego niepożądanego wścibstwa i zemści się na nim, mając broń przeciwko niemu w jego własnym czynie. Kołatała Marynia, ale nic nie wskórała. Zapaliła się wszakże do tego Elizka, która ma z natury żyłkę spekulacyjną, poparta w tym przez Zysia, który jest ogromnie chciwy i węszył w tych interesach z intendenturą złote góry zysków. Akurat Elizka nałapała się pieniędzy ze spadku po Mamie i w styczniu z działu Wiązowca. Mając kilkanaście tysięcy gotówki, a wespół z Marynią kilkadziesiąt, chciała puścić pieniądze w obrót spekulacyjny, w obecnej chwili najstosowniejszej w postaci dostaw do intendentury. Miała Elizka jeszcze ten motyw, że była to dla niej jedyna droga ocalenia tej gotówki przed chciwością Zysia, który każdy jej grosz wyrywa i pcha w Kowaliszki jak w beczkę bez dna. Wprawdzie rosną od tego na wartości i kulturze Kowaliszki, ale też zawsze jest gonienie gorączkowe za gotówką, a skala życia i wydatków jest wielka i długów też przybywa. Elizka ma własne tylko to, co zdoła ukryć od Zysia; ukryć zaś jej schedy ze spadku nie może, bo Zyś wie wszystko i liczy i póty będzie ją gryźć, aż wyrwie. Z tych wszystkich względów Elizka zapaliła się do spekulacji w intendenturze, a wraz z nią i Zyś. Wzięli oni Marynię do spółki w obroty. Marynia, choć lubi drobne spekulacyjki i ma swój spryt do handlu, nie jest chciwa i nie ma takiej natury, aby kładła całą duszę w geszeft. Lubi jakąś doraźną przedsiębiorczość, jakiś ruch pod własnym kierownictwem, umie dobrze zorganizować to, czym się zajmie, ale ostatecznie woli się małych rzeczy imać, interesując się raczej samą pracą, organizacją, ruchem, wyładowaniem własnej energii, której ma dużo w swej żywotnej naturze, niż zyskiem i właściwym celem spekulacji. Napiszę o tym w dalszym ciągu jutro.

1 (14) maja, rok 1915, piątek
Dalszy ciąg o biedzie Maryni. Elizka, z gotówką z Wiązowca w ręku, zabrała się energicznie do zdobywania dostawy do intendentury. Przede wszystkim, zaczęła kołatać z Marynią do intendentury wileńskiej. Marynia miała już tam pewne stosunki z czasów pierwszej swojej drobnej dostawy. Ale czy to dlatego, że Marynia w czasie pierwszej dostawy nie dała nikomu ani grosza łapówki, czy że nie należały z Elizką do kliki, obrabiającej systematycznie geszefty z intendenturą, czy jeszcze dla jakichś innych względów – nic wskórać nie mogły. Chciały one podjąć się organizacji szycia dla intendentury czy to jakichś szynelów, czy bluz, czy czegoś podobnego. Rzecz wszakże szła im jak z kamienia. Piętrzyły się rozmaite trudności, przeszkody, względy. Niby już coś się kleiło, a zawsze w ostatniej chwili wyrastała jakaś przeszkoda nie do zdobycia. To jeden z naczelników intendenckich coś już obiecywał, był szczególnie ugrzeczniony i łaskawy, to znów drugi coś szkodził i udaremniał dokonanie rzeczy. Realnie powstawała sprawa szycia szynelów z materiału, dawanego przez intendenturę. Rzecz zdawała się znakomita. Interes był gruby, Elizka z Marynią miały uruchomić całą armię szwaczek, wykonanie podług wzorów nie byłoby trudne, materiał był gotowy i dany, a więc ryzyka bodaj żadnego, bo ani ewentualności zabraknięcia materiału, ani ewentualności brakowania szynelów przez intendenturę pod pozorami złego materiału, a zyski w perspektywie świetne, kilkadziesiąt, a może i do kilkuset tysięcy rubli. Ale powstała kwestia kaucji. Udzielając materiału, intendentura żądała złożenia kaucji – w

olbrzymiej sumie coś bodaj 300 czy więcej jeszcze tysięcy. O takiej sumie niepodobna było marzyć ani Elizce ,ani Maryni. Wówczas wypłynął projekt szczególnej kombinacji. Instytucje społeczne i dobroczynne, biorąc dostawę dla intendentury, mogą być zwalniane od kaucji. Ktoś więc poradził Elizce i Maryni, aby wzięły dostawę pod firmą Miejskiego Kuratorium nad Biednymi. Zwróciły się więc one do tej instytucji, będącej w rękach polskich, z prośbą o udzielenie im firmy, ofiarując za to 1000 rb. na Kuratorium na rzecz biednych i motywując prośbę tym, że przez tę dostawę otrzymają zarobek tysiące biednych szwaczek w mieście, co wiąże tę sprawę bezpośrednio z zadaniami Kuratorium, w innym bowiem razie dostawę tę weźmie ktoś z Rosji lub pochwycą Żydzi i tysiące miejscowych szwaczek chrześcijańskich będzie pozbawionych tego zarobku. Na tym gruncie rozpoczęły one agitację w zarządzie Kuratorium, dla lepszego zaś przeforsowania rzeczy sprowadziły Zysia, jako superagitatora. Kombinacja jedna zrobiła klapę. Nie pomogło krasomówstwo agitacyjne Zysia. Argumenty nie przekonały kuratorów. Na zebraniu kuratorów większością głosów odrzucono propozycję. Zyś był wściekły, kładł tę rezolucję na herb pokątnej intrygi Sergiusza Łopacińskiego, który rzekomo chciał sam kierować wszystkimi dostawami Kuratorium dla intendentury, piorunował na „brak zmysłu społecznego“ w naszym społeczeństwie, na to, że Kuratorium nie pojmuje swoich elementarnych zadań. Moim zdaniem jednak – Kuratorium miało rację i, jako instytucja społeczna, nie powinno było służyć za płaszczyk dla spekulacji prywatnej, choćby miało za to otrzymać datek i wbrew rozczulającym argumentom o zarobkach biednych szwaczek. Może mogłoby w imię tych zarobków szwaczek samo się podjąć interesu, ale nie w drodze udzielania firmy dla prywatnego geszeftu. Zyś z Elizką nie dali za wygraną. Postanowili dopiąć celu przez zaproponowanie tej samej kombinacji rosyjskiemu i rusyfikacyjnemu towarzystwu dobroczynnemu „Доброхотная Копейка“. Tam rzecz zdawała się łatwiejsza do wykonania, bo towarzystwo to zależne jest od gubernatotorowej Wieriowkinowej i robi to i tak, co i jak życzy sobie, tj. dyktuje p. gubernatorowa. Odradzałem im zwracania się po firmę do „Доброхотной Копейки“ ze względu na złą sławę tego towarzystwa, na rolę moskiewską, którą ono w Wilnie spełnia. Marynia też była temu niechętna. Ale nic moje argumenty nie pomogły, gdy tam świtał zysk, łechcący chciwość Zysia i spekulacyjną żyłkę Elizki. Zysiowie Komorowscy są dobrymi znajomymi państwa gubernatorstwa Wieriowkinów. P. gubernatorowa nie tylko że przystała na kombinację, ale jeszcze się sama do interesu zachęciła i zgłosiła się ewentualnie na wspólniczkę Elizki. Tymczasem, póki tu się składały kombinacje, zanim „Доброхотная Копейка“ udzieliła swej firmy, okazało się, że już sprawa cała upadła, albowiem intendentura oświadczyła, że już dostawy tej do udzielenia nie ma. Zdawało się, że sprawa jest pogrzebana, ale nie tak łatwo mogła być uśpiona spekulacyjna chęć zysku u Elizki i Zysia. „*L'apétit vient en mangeant*“ – powiada przysłowie francuskie i nigdy nie jest ono trafniejsze w zastosowaniu, jak tym razem. Zyś i Elizka, podnieceni widokami bajecznych zysków, coraz bardziej się rozpalili. Energia rosła i nic ostudzić ich ognia nie było w stanie. Marynia była spokojniejsza i nie tylko spokojniejsza, ale nawet obojętna; sama z pewnością nie przedsiębrałaby już nowych starań; Marynia ma krew zimną, której chciwość rozpalić nie jest w stanie; więcej ją poruszają sprawy sumienia, serca, dobrych uczynków, ofiarności dla wielkich celów lub dla niedoli ludzkiej; te sprawy mają w niej rzeczniczkę gorącą, wrażliwą, pełną zawsze najszlachetniejszych nie tylko intencji, ale czynów; natomiast chciwość jest obca jej naturze; w spekulacjach, które lubi zawsze, chodzi jej więcej o samą czynność, o ruch, o pierwiastek działania osobistego, niż o geszefciarską stronę interesu, o sam element zysku. Dalszą więc akcję wzięła na siebie

Elizka z biernym tylko udziałem Maryni jako przyszłej ewentualnej wspólniczki. Kontynuować będę jeszcze jutro.
W depeszach dzisiejszych nic nadzwyczajnego. Komunikat wodza naczelnego wspomina o wzmożeniu się sił niemieckich pod Szawlami i o uporczywej bitwie, która się tam toczy. Jest jeszcze wzmianka o odebraniu przez Rosjan Ejragoły na lewym brzegu Dubisy. Z Galicji Zachodniej brak wiadomości.

2 (15) maja, rok 1915, sobota
W depeszy wodza naczelnego jest wzmianka o trwającej bitwie pod Szawlami i nade wszystko ciekawa wzmianka o cofaniu się wojsk rosyjskich w Galicji Zachodniej na linię Sanu, co się tam tłumaczy oczywiście nie jako skutek porażki rosyjskiej i zwycięskiego pochodu ofensywy austro-niemieckiej, ale jako manewr strategiczny, dający Rosjanom pozycję bardziej skoncentrowaną i przeto dogodniejszą od poprzedniej, rzekomo zbyt rozciągniętej. Wszakże nie wiadomo jeszcze z tej depeszy, czy cofnięcie się do Sanu dotyczy tylko górnego biegu tej rzeki na podkarpackim terenie wojny, czy też całej linii Sanu aż do Wisły, to znaczy do Jarosławia i Przemyśla. Jest się wszakże uprawionym do przypuszczenia, że chodzi właśnie o całą linię Sanu, bo gdyby depesza miała na myśli tylko górny bieg tej rzeki, to zapewne zastrzegłaby to ograniczenie, jako bądź co bądź pomyślniejsze dla Rosjan, niż cofnięcie się do całej linii rzeki. Jeżeli istotnie Rosjanie zostali odrzuceni do Sanu na całej jego linii, to ofensywa zachodnio-galicyiska zaiste świetnie wypadła dla Niemców i Austriaków. Jest to zupełne oczyszczenie Galicji Zachodniej od Rosjan, przełamanie wielkiego i mocnego frontu Dunaju, na którym Rosjanie się byli wzmocnili od jesieni, głębokie odepchnięcie ich wstecz, i co najważniejsze – zdobycie świetnego stanowiska strategicznego jako ewentualnego punktu wyjścia do kapitalnej głównej ofensywy na Warszawę. Linia Sanu – to już od razu poważne zachwianie stanowiska Rosjan na całym ich stanowisku zawiślańskim w Królestwie Polskim, zwłaszcza zaś od Pilicy na południe – nad Nidą, gdzie się wytworzył obecnie klinowaty trójkąt, zwrócony wierzchołkiem w kąt między Nidą od Kielc do Korczyna a Wisłą od Korczyna do Sandomierza. Rosjanie mają więc teraz w południowej części Królestwa, w gubernjach Kieleckiej i Radomskiej front na dwie strony, na czoło i na flankę, a chociaż front flankowy między ujściem Nidy a Sandomierzem jest broniony przez Wisłę, to jednak zawsze muszą się tu mieć na baczności i znaczną część pogotowia obronnego w tym zakątku pozycji swoich skierować na obronę frontową flanki i poza tym zagrożeni są akcją ewentualnego obejścia i okrążenia. Czy wytrzymają w tej pozycji i czy nie zmusi ich to niemal automatycznie do cofnięcia się z linii Nidy z całej guberni kieleckiej i ewentualnie radomskiej do linii Wisły? Linia Sanu – to znowu sprawa pozycji Jarosławia i Przemyśla i ewentualnie znowu, jak na początku wojny, punkt wyjścia na ofensywę Lublin-Chełm. W tych warunkach jedna rzecz się uwydatnia jaskrawie – to skandaliczne zaiste marcowe oddanie Przemyśla. Jeżeli Niemcy i Austriacy teraz, w niezupełna dwa miesiące po upadku twierdzy, okazali się w stanie dokonania ofensywy aż do wypędzenia Rosjan za San, to fakt uprzedniego poddania twierdzy jest klasycznie skandaliczny. Przez ofensywę tę Przemyśl, gdyby nie był oddany, byłby obecnie uwolniony i stałby się tą bazą operacyjną, jaką musiał być w myśl swego przeznaczenia i przystosowania. To znaczy, że nie był on stracił swego znaczenia i że upadek jego był rzeczywiście klęską i rzeczywiście kapitalną pomyłką Austro-Niemców. A choć upadek ten był może koniecznością, niemniej jest faktem skandalicznym nieobliczenia swych sił i środków w stosunku do takiego olbrzymiego atutu, jakim była twierdza przemyska w systemie mechanizmu wojennego Austriaków. Faktowi cofania się na linię Sanu bardzo dyskretnie wzmiankowanemu, przeciwstawia się w depeszy wodza naczelnego

bardzo reklamowana ofensywa rosyjska w kierunku na Bukowinę, mająca wszakże wszelkie cechy ruchu dywersyjnego i epizodycznego, który nie może mieć poważnego znaczenia bez panowania nad Karpatami. Ruch ten uwydatnił się w pewnym cofaniu się ich od Bystrzycy za Prut, widocznie pod Kołomyją.
Wielkie znów fiasko sprawiły Włochy. W ostatnim tygodniu tyle trąbiono o natychmiastowym wystąpieniu Włoch przeciwko Austrii, o podpisaniu jakiegoś kategorycznego układu Włoch z państwami koalicji, o rozbiciu rokowań, toczących się między Włochami a Austrią za pośrednictwem Bielowa, o powszechnym jednomyślnym zapale całego Narodu Włoskiego do świętej wojny narodowej z Austrią, że się istotnie zdawać mogło, że już tym razem katastrofa jest nieunikniona. Tyle razy zapowiedzi natychmiastowej interwencji któregoś z mocarstw neutralnych, czy to tych samych Włoch, czy Rumunji, czy Grecji – zawodziły, że się przywykło przyjmować te wersje ze sceptycyzmem. Ale tym razem omawiano wystąpienia Włoch z taką precyzją, że się mimo woli zaczynało wierzyć i czekać spełnienia faktu. Tymczasem w ostatniej chwili zaczęto trąbić o intrygach wodza neutralistów Giolittiego, i oto, jak z dzisiejszych depesz się dowiadujemy, cała sprawa naraz upadła akurat w ten sposób, jak to było z Grecją niedawno; jak tam kryzys się zaraz zakończył dymisją Venizelosa i ujęciem steru rządów przez neutralizację Gunarisa, tak tu skończyło się też naraz dymisją gabinetu Salandry-Sonnino. Oczywiście nie tak to łatwo o interwencję, gdy interesy są tak różnorodne i zawikłane i gra ich tak skomplikowana, jak w stosunku Włoch do obu stron walczących; poza tym, państwa neutralne, w obecnych okolicznościach wielkiej wojny, muszą zapewne zdawać sobie sprawę z tego, że im dłużej zachowają świeże rezerwy sił i im później rzucą je na szalę wobec wzajemnego osłabienia i wyczerpywania głównych czynnych aktorów wojny, nie wyłączając przyszłych ewentualnych zwycięzców, tym głos ich i akcja będzie bardziej ważka.
Chciałbym tu jeszcze dokończyć o tej sprawie Maryni i Elizki z intendenturą; będę się streszczać, ale nie wiem, czy mi się to uda, bo rzecz jest dość obszerna i jeżeli już ją poruszyłem, to należałoby ją omówić dobrze. Spróbuję. Po nieudanych staraniach w Wilnie, Elizka wyruszyła dla starań na szerokie wody. Jeździła do Moskwy, do Petersburga, do Warszawy, dotarła do najwyższych władz intendentury, wyzyskała wszystkie stosunki, poruszyła wszystkie sprężyny wpływów, aby uzyskać dostawę szycia bluz żołnierskich, która jest w toku i wciąż jeszcze otwarta w intendenturze wileńskiej. Zużyła na to moc energii, czasu, fatygi, koszta na jazdy; rzeczywiście dokazała cudów wytrwałości i żelaznej stanowczości w wytkniętym kierunku. Rzecz zdawała się na najlepszej drodze; wszędzie obiecywano, popierano jej starania, interweniowano do wileńskich władz intendentury, udzielano protekcji, wskazówek, wpływów. Ale ilekroć przyjeżdżała do Wilna i chciała tu sięgnąć po plon dalekich i wpływowych starań, spotykała tu grunt oporny i rozmaite jakieś doraźne przeszkody i preteksty do zwłoki. I gniewała się, i znów jeździła, i czekała, i mnożyła wpływy, i wciąż bez ostatecznego skutku. Było oczywiste, że intendentura wileńska jest niechętna, z pewnością dlatego właśnie, że Elizka chciała im narzucić rzecz tę z góry, że nie wchodząc w ich klikę chciała wyrwać od nich tę dostawę przemocą drogami wpływów, że słowem stawała nad nimi i energią, uporem, niewyczerpanym wyzyskaniem wszystkich środków zmuszała ich do uległości. I oto razu pewnego Elizka z Marynią wykoncypowały, że aby przełamać wreszcie opór władz intendenckich wileńskich, aby zdecydować ich do zaniechania szykan i zastosowania się do zleceń władz wyższych, przychylnych tym staraniom, trzeba jednemu z urzędników wileńskich dać łapówkę. I oto przesłały w kopercie wraz z listkiem z prośbą o przyśpieszenie decyzji – 1000 rubli niejakiemu, zdaje się Kaczanowskiemu – intendentowi. Okazało się wszakże, że ten Kaczanowski ofiarowaną mu łapówkę ujawnił. I teraz robi się w tej sprawie jakieś

dochodzenie, jakieś śledztwo, którego kierunku i istoty jeszcze niepodobna z pewnością określić.

3 (16) maja, rok 1915, niedziela
Wczoraj o godz. 10 wieczorem wyjechałem z Wilna do Bohdaniszek. Jadę tylko na parę dni – dla interesu Rakiskiego Towarzystwa Pożyczkowego-Oszczędnościowego, którego jestem plenipotentem. Wyjechałem z Wilna z p. Kordakówną, która jedzie do Kowaliszek na praktykę gospodarczą; jest to młoda panienka z Polesia, rodząca się ze Skirmuntówny; dobrze skoligacona z wielu rodami wyższej szlachty litewskiej; starannie wychowana, towarzyska, mająca dużo ogłady, taktu, sprytu i tego, co się określa nazwą *„savoir vivre"*. W szczególności jest spokrewniona z domem stryjostwa Kazimierzostwa Römerów z Janopola, zna Platerów, Wołodkowiczów, Ordów, Wańkowiczów i wiele innych domów, wszędzie bywała, dużo jeździła, a wychowana była w Londynie. Z rozmowy widać, że umie dawać sobie radę, dobrze się orientuje w sytuacji, umie uwydatnić swoje atuty koligacyjne, swoje stosunki, swoje cechy charakteru, upodobania sportowe itd. Zlecone mi było opiekować się nią w drodze. Mam wrażenie, że ta „praktyka gospodarcza" jest pozorem tylko, istotnym zaś motywem jazdy jest ewentualne skojarzenie małżeństwa tej panienki z Hektorem Komorowskim; jest to, zdaje się, wędka na Hektora, kierowana czyjąś ręką – może ręką stryjenki Kazimierzowej Römerowej i rodziny Skirmuntów. Ciekaw jestem, czy się nie mylę i czy coś z tego będzie. Będzie to jednak zależało głównie zapewne od tego, czy panna ma jakiś posag, bo w matrymonialnych perspektywach Hektora jest to jedna z głównych rzeczy. W tym samym pociągu i tą samą drogą na Kałkuny jechał ze mną p. Józef Drewnowski i młody p. Maciej Komar z Poławenia; nie było więc nudno, bo gawęda wciąż sobie płynęła. W Kałkunach spotkałem Papę, który akurat jedzie z Bohdaniszek do Wilna dla swego zwykłego periodycznego „przewietrzenia się". Pociąg nasz z Wilna szedł tym razem bez opóźnienia i w porę też odszedł pociąg z Kałkun. Obecnie pociąg z Kałkun dochodzi już do Poniewieża, a może i dalej; ruch osobowy normalny funkcjonuje do Poniewieża, ale byli w pociągu i urzędnicy poczty szawelskiej, wracający do Szawel. W ogóle wagony II klasy zapełnione głównie urzędnikami Moskalami, wracającymi po ucieczce, sprawionej najściem Niemców. Większość wszakże jedzie tylko do Rakiszek, gdzie się zalokowały niektóre urzędy i instytucje rządowe gubernialne, wywiezione z Poniewieża. Do Poniewieża i Szawel wracają tylko urzędnicy poczty i policji; w ogóle powrót jest ostrożny. Z Abel najętą furmanką pojechałem do Bohdaniszek, dokąd przyjechałem o godz. 8 rano. W Bohdaniszkach z domowych, prócz służby, zastałem tylko samego Stefusia Römera. Teraz jest w stronach bohdaniskich spokojnie. Powstrzymanie ofensywy niemieckiej na Żmudzi ukoiło ruch i nastroje, które tu niedawno panowały. Ale wyczuwa się jeszcze pewne podniecenie, pewien oddźwięk niedawno przeżytych wrażeń. Ludzie też nie czują się jeszcze zupełnie pewni, nasłuchują i kombinują możliwości, a lada wieść może zbudzić rwetes paniki. Utrzymał się pewien nastrój nerwowy, jakby wyczekiwania katastrofy, której nikt nie wyklucza. A niedawno panował tu wielki ruch podniecenia Masy uciekinierów płynęły z zachodu ze Żmudzi, roznosząc przestrach i fantastyczne wieści. Gościńcami z zachodu na wschód ciągnęły niezliczone furmanki włościańskie z kobietami, dziećmi, dobytkiem, zaprzęgi dworskie, pełne panów i pań, wozy ze służbą i sprzętami. Był to widok jakiegoś danteistycznego exodu, masowej wędrówki ludu, uciekającego przed zmorą wojny. Olbrzymia większość jechała na oślep, nie wiedząc dokąd, byle dalej, byle przed siebie. Ludność miejscowa wybiegła na gościńce, pędziła do miasteczek, by się przyjrzeć widowisku, zasięgnąć od zbiegów języka, litować się nad nimi i współczuć, sycąc jednocześnie własne uczucie strachu,

własny niepokój. W opowieści zbiegów wypadki na Żmudzi wyrastały do dziwacznych rozmiarów. Rakiszki były pełne uciekinierów, inni ciągnęli dalej. Między ludem miejscowym zaczęły się też szerzyć objawy paniki, zaczęto zakopywać zboże, odzienie, sprzęty i produkty żywnościowe. Gospodarze spisywali inwentarz całego dobytku, od zabudowań i bydła aż do ziarna i drobiazgów gospodarskich, zaopatrzony oceną szacunkową i zaświadczony podpisani świadków-sąsiadów oraz pieczęcią gminy. Jedni myśleli o ucieczce, inni postanawiali nie ruszać się z miejsca, byli i tacy, którzy zapewniali, że będą się bronić. Wszystkich ogarniał pewien lęk i niepokój. Nienawiści do Niemców jako takich nie dostrzegało się w masie, lęk dotyczył samej wojny jako rzeczy strasznej i nie wiadomej. Nie brakło oczywiście pogłosek, że Niemcy będą ścinać głowy i męczyć, ale tym pogłoskom nie wierzono. Popularniejsze natomiast utrwalało się przekonanie, że Niemcy biorą młodzież męską do niewoli, a mężczyzn do pracy przymusowej. Niemało było zresztą i sympatyków niemieckich, którzy pomimo wszystko pragnęli ich przyjścia; wszystkim imponowała siła Niemców, sprężystość i metodyczność ich ruchu, ich organizacja, ich ład i kultura, o których wszyscy słyszeli i dla których podziw i uznanie, niezależnie nawet od sympatii, były powszechne. W Bohdaniszkach Papa nie myślał się ruszać z miejsca i postanowił w żadnym razie nie opuszczać domu. Jest to mądre i obywatelskie stanowisko; obywatel ziemianin, czy to chłop, czy pan ze dworu, powinni dzielić losy kraju i wytrwać na placówkach własnych ziemi rodzinnej – w złej czy dobrej doli. Przede wszystkim, obecność ich uratuje ich własny dom i dobytek od rabunku, bo z obecnym bądź co bądź wszyscy się liczą, nawet wojsko i nawet maruderzy. Po wtóre, obecność ludzi miejscowych, zwłaszcza wykształconych, znających język niemiecki itd., ułatwi masie biedaków stosunek z nowymi władzami niemieckimi. Pod wszelkimi względami wytrwanie na miejscu jest szlachetniejsze od ucieczki, choćby się było narażonym osobiście na pewne niebezpieczeństwo, nieuniknione podczas wypadków wojny. Dla Papy wszakże niebezpieczeństwo mogłoby być większe, niż dla wielu innych, bo Papa nie przywykł do posłuszeństwa, karności, uginania się, jest samowolny i unoszący się; z braku taktu mógłby się poważnie narazić Niemcom. Papa nie wierzył w przyjście Niemców aż do Bohdaniszek, ale jednak srebro całe schował w wielką dziurę w piecu w gościnnym pokoju, rondle miedziane zakopał w sklepie, sprzątnął ze stołów wszystkie książki i ilustracje, które były przeciwko Niemcom zwrócone, a nawet rozłożył kilka niemieckich książek na stołach w wielkim pokoju i w salonie. Do Antonosza umknął z Cytowian Eugeniusz Römer z rodziną i całym domem służby. Dziwię się temu, bo słyszałem, że Eugeniusz miał zostać do ostatka.

4 (17) maja, rok 1915, poniedziałek
Rano pojechałem do Rakiszek. Na dziś był wyznaczony układ między II Rakiskim Towarzystwem Pożyczkowo-Oszczędnościowym a młodym Adamem Kupściem, synem nieboszczyka Onufrego. Towarzystwo rakiskie wezwało mię w charakterze doradcy prawnego, ponieważ ja prowadziłem w sądzie jego sprawę przeciwko Kupściowi. Sprawa została wygrana i poszukiwana suma została przysądzona w całkowitej kwocie, wynoszącej z procentami i kosztami sądowymi przeszło 9000 rubli. Kupść zgłaszał jakieś propozycje polubownego kompromisu, który miał być dziś omawiany. Sprawa ze strony Kupścia jest brudna; wypłynęła ona z nadużyć, popełnionych ongi przez jego ojca Onufrego w charakterze członka zarządu Towarzystwa rakiskiego. Kupść usiłował wykręcić się od spłacenia tego długu ojcowskiego, który powinien był być dla niego co najmniej kwestią honoru, jeżeli już nie sumienia. Wykręcić mu się nie udało, mimo sprytne wybiegi, i teraz musi płacić. Ale na układ, który sam zaproponował, nie stawił się dziś w terminie. Przyjechał

dopiero po posiedzeniu Rady Towarzystwa i z obecnymi członkami zarządu, Petrulisem i Miłaknisem, oraz ze mną zaczął mówić bynajmniej nie o układzie, ale o zamierzonej przezeń metodzie spłacenia tego długu przez skupywanie od włościan książeczek wkładowych (depozytowch) i przedstawienia takowych dla kompensaty. Jest to operacja brudna, oparta na spekulacji i krzywdzie tak Towarzystwa, jak włościan. Od włościan, którym Towarzystwo rakiskie nie jest obecnie w stanie wypłacać depozytów, skupywać będzie książeczki za bezcen, a amortyzować nimi dług w całkowitej sumie nominalnej. Jednocześnie pozbawi przez to Towarzystwo wpływów gotówki z tej należności, co dla Towarzystwa jest rzeczą ciężką. Formalnie oczywiście będzie mógł to zrobić, jeżeli tylko będzie miał pieniądze na skupywanie książeczek. Ponieważ tu chodzi o dług honorowy, dług, płynący z nadużycia jego ojca, z krzywdy, którą ojciec przez malwersacje swoje wyrządził masom drobnych wierzycieli i udziałowców kooperatywy kredytowej, więc oczywiście jest to spekulacja brudna. Ale co chcieć od człowieka, który jest szują skończoną. Dziwi mię tylko, że mu w tym sekunduje i dopomaga Zygmunt Rutkowski. Tacy ludzie zaiste kiepsko reprezentują obywatelskie sumienie ziemian i reputację ich wobec masy ludowej. Ale zanim Kupść dokona swej spekulacji z książeczkami depozytowymi, my go poszykanujemy trochę. Na próżno więc przyjeżdżałem do Rakiszek. Wymknęło mi się też przez to honorarium, które spodziewałem się dziś zainkasować od Towarzystwa, gdyby układ był już doszedł do skutku. A szkoda, bo wpłynęłoby stąd do kasy mojej z kilkaset rubli, a choć tymczasem parę setek, co by mi się zwłaszcza teraz, wobec zamierzonego wyjazdu za granicę, bardzo przydało. Teraz zaś honorarium to spadnie zapewne na Ślażewicza, któremu interes ten wyjeżdżając zlecę do prowadzenia w zastępstwie moim.
W Rakiszkach przeczytałem z pism rosyjskich wczorajszą depeszę wodza naczelnego. Jest w niej kategoryczne potwierdzenie całkowitego cofnięcia się Rosjan do linii Sanu, to znaczy aż pod Przemyśl i Jarosław i – co ważniejsze – oświadczenie, iż zajęcie linii Sanu spowodowało konieczność wyrównania podług tej linii frontu sąsiednich stanowisk, to znaczy frontu karpackiego na lewym rosyjskim skrzydle i frontu zawiślańskiego – na prawym. Co do Karpat, to stwierdzono w depeszy konkretnie wycofania się z nich Rosjan, co zaś do zawiślańskiego frontu, to oczywiście chodzi o cofnięcie się w pierwszym rzędzie znad Nidy, z gub. kieleckiej i radomskiej i chyba aż do Wisły, bo dopiero linia Wisły od Sandomierza na północ odpowiada linii Sanu. Istotnie też w gazecie rosyjskiej jest już wzmianka o zajęciu Kielc przez Austriaków jako pierwszym etapie tego „równania frontu“ podług Sanu. Ale w takim razie znów nabiera aktualności kwestia Warszawy, której posiadanie przez Rosjan staje się przez tę zmianę rozlokowania poważnie zagrożone. Poza tym, w depeszy wodza naczelnego są wzmianki o nieudanej niemieckiej próbie obejścia Szawel na Gruździe i o powodzeniu „ofensywy“ rosyjskiej pod Kołomyją i w ogóle nad Prutem. W Rakiszkach kursowała pogłoska, niezbyt kategorycznie podawana, o ponownym zajęciu Szawel przez Niemców.
Wspomnę tu o jednej rzeczy, o której wczoraj zapomniałem napisać. Jest to detal, który może nie ma żadnego znaczenia, ale który zwrócił moją uwagę i zastanowił. Jest to fakt oddania przez Papę ogrodu owocowego w dzierżawę za 800 rubli. Nigdy nie było wypadku, nawet w najlepszych dla handlu czasach, aby ogród owocowy w Bohdaniszkach był o tej porze oddany w dzierżawę. Drzewa jeszcze nie kwitły wcale, chłody są wielkie, przymrozek może zwarzyć kwiecie, nie wiadomo, czy będą owoce i ile ich będzie, niepodobna przewidzieć warunków, jakie będą latem dla handlu owocami – czy nie wybuchnie cholera, czy dowóz owoców do miast będzie możliwy, czy wagony będą, a tu nagle z góry dzierżawca się znajduje i bierze ogród bez wahania, płacąc cenę stosunkowo wysoką, bo ogród bohdaniski szedł dotąd najwyżej w cenie 700

rubli. Jest to rzecz dość zastanawiająca i podejrzana. Czyby to nie był pozór afery szpiegowskiej. Gdyby dzierżawcą był Niemiec albo Żyd, byłaby wielka podstawa do przypuszczenia, iż chodzi tu o punkt obserwacyjny i ewentualnie sygnalizacyjny. Ale dzierżawcą jest miejscowy starowier-Moskal, Grigorij Grigorjew. Nie jest wykluczone, iż to jest rosyjski agent dla punktu sygnalizacyjnego na wypadek wkroczenia Niemców. Położenie ogrodu bohdaniskiego pod względem topograficznym jest z tego stanowiska świetne.
Korzystając z kawałka wolnego miejsca, dokończę o sprawie Maryni i Elizki z intendenturą. Na razie, gdy się ujawniło, iż intendent Kaczanowski ofiarowaną mu łapówką tysiąca rubli zgłosił do wyższych władz swoich i że w tej sprawie robi się jakieś dochodzenie, byliśmy tym z Marynią ogromnie zaniepokojeni. Biedna Maryńka była bardzo przygnębiona. Trzebaż rzeczywiście tak wdepnąć i to tak bez sensu. Cała bowiem akcja o pozyskanie dostawy była przez Marynię, a głównie Elizkę prowadzona właśnie nie drogą łapówek, ale przez starania i wpływy najwyższych dygnitarzy intendenckich z pomijaniem kliki wileńskiego błotka intendenckiego i w ostatniej chwili taka kompromitacja! Łapówka była dana tylko na przełamanie przeszkód i szykan, wymyślanych przez błotko wileńskie, była tylko ostatnim argumentem, gdy już wszystkie właściwe arkana były wykorzystane i zdobyte. Ale przez tę łapówkę dały one broń najlepszą przeciwko sobie tej klice wileńskiej, która nie mogła im darować, że one ją pomijały i chciały jej sprawę dostawy narzucić przez wpływy z góry. Mniejsza zresztą o samą dostawę. Lękaliśmy się z Marynią bardziej skutków łapówki, ewentualnego procesu, skandalicznego rozgłosu i figurowania w brzydkim intendenckim procesie łapownictwa. Sam proces jako taki byłby skandalem niezmiernie przykrym. Teraz zaś podczas wojny i w sprawie o dostawę dla potrzeb armii czynnej, mógłby być ewentualnie nawet sąd wojenny albo represja administracyjna nie mniej przykra i skandaliczna. Wezwaliśmy z Marynią telegraficznie Elizkę z Warszawy dla narady i dla przedsięwzięcia przez nią starań o umorzenie całej hecy. Elizka przyjechała i była też na razie bardzo strapiona, ale potem poszła do gubernatora Wieriowkina i do jednego z wyższych wileńskich intendentów Ugriumowa, którzy ją uspokoili nieco, że zapewne do żadnego procesu nie dojdzie. W każdym razie, nadaje się temu charakter nie łapówki, jeno daru, rekompensaty. Elizka tegoż dnia, w sobotę, znów pojechała do Warszawy, do naczelnego intendenta północno-zachodniego frontu, by sprawę tę zlikwidować i niemniej nadal się o tę dostawę starać.

5 (18) maja, rok 1915, wtorek
Dziś rocznica moich urodzin. Skończyłem 35 lat. Ostatecznie wiek jest mi teraz obojętnym. Dopóki żyła Aninka, ceniłem życie i tę względną młodość, którą jeszcze mam. Życie i teraz kocham i cenię, ale nie moje osobiste. Aninka nauczyła mię piękna, barwy i głębi życia, których dotąd nie znałem; dała mi wiedzę, czucie i miłość życia, które w pamięci i sercu dochowam. Ale z jej życiem zgasło nasze życie własne. Pozostała idea życia, wcielająca się w miliardach konkretnych istnień; ją kocham, dla jej piękna, dla jej prawdy poświęcę czyny moje, aby ją wyzwolić z obłudy, z ucisku – do lotu, do wielkich torów ducha, równego duchowi Aninki. I jeżeli coś warte jeszcze lata moje, mój wiek męski przed nadejściem starości, to tylko o tyle, o ile uzdalnia mię on do czynu w myśl spełnienia ideowej spuścizny naszej. Poza tym, ze stanowiska osobistego, wszystko mi dziś jedno.
Rano zastałem w Bohdaniszkach Józefa Šukysa, którego wczoraj podczas mojej nieobecności sprowadził Stefuś i który nocował u nas. Šukys, poczciwy, serdeczny i potulny, jak zawsze, jest teraz wiernym towarzyszem polowania Stefusia. To Stefuś do niego chodzi, to on przychodzi do Bohdaniszek. Razem włóczą się z fuzjami po polach,

szukając przygodnej zwierzyny, ćwicząc się w strzelaniu do celu lub do pewnych gatunków ptactwa, czasem zaś idą na cietrzewie w toku. Tak oto i dzisiaj w nocy, korzystając ze swobody w nieobecności Papy, mają iść do lasu w Bejczach na cietrzewie. Šukys nic teraz nie robi; siedzi w domu ojca bez zajęcia, nigdzie się nie uczy i żadnych konkretnych projektów tymczasem nie ma; rozleniwia się przez to, przywyka do próżniactwa i marnuje, tym bardziej, że z natury jest bierny i pozbawiony wszelkiej przedsiębiorczości; tymczasem wciąż jeszcze ma w zawieszeniu służbę wojskową, otrzymując przez starania i łapówki coraz to nowe prolongaty ze względu na kwestię zdatności jego z powodu słabego wzroku. Šukys mi opowiadał o nastrojach u włościan naszych w związku z wypadkami wojny. Sam on jest jaskrawej „orientacji” niemieckiej, pragnie gorąco porażki Rosji, nie myśli uciekać przed Niemcami, życzy nawet, aby ewentualnie Niemcy zaanektowały Litwę, byle się ze szponów moskiewskich wyrwać. Chodziłem ze Stefusiem i Šukysem na spacer do Kumsz i grałem z nimi trochę w karty w gry dziecinne, bo innych zresztą nie umiem. Po obiedzie przyjechał Piotr Rosen z Gaczan. Posiedział parę godzin, gadał, blagował, popisywał się efektami, starając się utrafić w ton mojej „orientacji”; jak mi się zdaje, przyjechał dla wybadania mię co do sprawy skupywania przez Adama Kupścia od włościan książeczek depozytowych Rakiskiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego, o czym pisałem wczoraj. Zdaje się, że Zygmunt Rutkowski, z którym się Rosen wczoraj widział, namówił czy uprosił go do pośredniczenia w skupywaniu, raczej w skierowywaniu tych książeczek do Kupścia. O godz. 6 pod wieczór wyjechałem na kolej do Abel, muszę już bowiem śpieszyć do Wilna. Ładnie jest teraz na wsi, gdy pączki na drzewach pękają, ziemia zielenieje i lada dzień drzewa owocowe zakwitną, ale, niestety, nie mogę tu bawić dłużej. Czas mi już w drogę. Kiedy teraz wrócę do Bohdaniszek, kiedy je zobaczę znowu – sam nie wiem. Przyszłość jest teraz dla mnie tak zagadkowa! Z tęsknotą żegnałem Bohdaniszki, z tęsknotą spojrzałem na pożegnanie z okna mego pokoju na daleki przepiękny kochany widok na Kumsze, Pakienie, dalekie lasy dusiackie. O, widoki moje, kiedy was znów ujrzę i czy takie same! Ja, syn wasz, syn tej ziemi naszej! Jechałem do Abel przez Pokrewnie; po drodze zajechałem na jedną chwilkę do dworu Pokrewnia dla odwiedzenia p. Antoniowej Weyssenhoffowej. Zastałem ją w towarzystwie stryjenki Izydorowej Römerowej i Ani Römerówny, które przyjechały w gościnę z Antonosza. Chwikę tylko zabawiłem na gawędce. Sądzę, że stryjenka Izydorowa i Anna były nieco może zgorszone tym, iż ani słówka nie wspomniałem o Reginie i mojej córce i nie spytałem, co się z nimi stało, czy uciekły z Cytowian przed Niemcami, czy nie. Mnie nikt nie czuje się w obowiązku o mojej córce udzielać wieści, toteż i ja nie chcę ich pytać jak żebrak i prosić o łaskę mówienia o niej mnie, ojcu. Zresztą ta córka jest mi prawie obca. Mam dla niej na dnie serce iskierkę uczucia, ale wszystko się po temu układa, aby to dziecko było dla mnie dalekim tak ze znajomości, jak z ducha.
O podróży mojej do Wilna jutro wspomnę. Właściwie nie tyle o podróży, ile o nieszczęśliwych męczennikach żydowskich, wydalanych przez władze rosyjskie z gub. kowieńskiej i Kurlandii. Spotkałem ich w drodze i włosy mi powstawały na głowie na widok tej krzywdy biednego ludu nędzarzy i wygnańców. Tu wspomnę tylko o wczorajszej i dzisiejszej depeszach wodza naczelnego, które w drodze (w Abelach i Kałkunach) udało mi się przeczytać. Główne momenty akcji wojennej są takie: na żmudzko-kurlandzkim terenie front ciągnie się mniej więcej wzdłuż linki Wenty i Dubisy. Szawle są wciąż w ręku rosyjskim, chociaż toczą się bitwy o ich posiadanie. Między Wisłą a Karpatami front ustalił się bezpośrednio na linii Sanu od jego ujścia do Przemyśla, a stamtąd zawraca na południowy wschód w kierunku Stryja. Walki się toczą pod Leżajskiem, Jarosławiem i Przemyślem. Kapitalne jest głębokie cofnięcie się

Rosjan na lewym brzegu Wisły od Pilicy dla wyrównania linii frontu podług linii Sanu. Z guberni kieleckiej Moskale już się wycofali zupełnie i cofają się w radomskiej, a są już blisko linii Wisły, bo pod Opatowem. Chwalą się, że podczas tego pośpiesznego cofania się od czasu do czasu ogryzają się jak ścigany zwierz i doraźnymi kontratakami niepokoją postępujących za nimi Austriaków. „Ofensywa" rosyjska na Prut jest oczywiście wstrzymana, bo postępów nie widać, choć wódz naczelny nadal się tu chwali ogólnikowo powodzeniem. Tak więc kampania wiosenna przyniosła Moskalom kapitalne ciosy i to w najboleśniejszych dla nich punktach – w Galicji, w Karpatach, za Wisłą i na wybrzeżu bałtyckim. Rosja podobna jest do starej szkapy, którą zacinają i biją, gdzie popadnie. Zdumiewające jest klasyczne niedołęstwo i niezaradność potwornej masy rosyjskiej. Biją ją ze wszech stron na kwaśne jabłko.

6 (19) maja, rok 1915, środa
W całym szeregu placówek olbrzymiego frontu od Bałtyku do granic Rumunji – toczą się uporczywe bitwy. Trwa bitwa pod Szawlami, walki w północnej części Suwalszczyzny między Niemnem a linią Kolei Kowieńsko-Wierzbołowskiej, wielkie bitwy pod Opatowem w gub. radomskiej, pod Jarosławiem, pod Przemyślem i dalej na wschodnio-galicyjskim froncie Drohobycz-Stryj-Bolechów-Dolina-Delatyń-Kołomyja. Ciekawe jest stwierdzenie w depeszy wodza naczelnego, że Niemcy (czy Austriacy) usiłują pod Jarosławiem umocnić się już na prawym brzegu Sanu. Wrażenie sukcesów niemiecko-austriackich jest ogromne. Moskalofile spuszczają nos na kwintę, wyznawcy innych, przeciwnych orientacji – triumfują. Dobrze się zaczęła kampania wiosenna. Gadano dziś na mieście, raczej z domysłów, niż wieści, że Przemyśl został odebrany i że Kowno jest bombardowane z zaniemeńskiej strony.
Przyjechałem dziś rano do Wilna. W drodze miałem przerażający widok wysiedlanych przymusowo Żydów. Pociąg, którym jechałem z Abel do Kałkun, był przepełniony nędzą i krzywdą żydowską. W Kałkunach zebrały się ich tłumy całe; cały peron i budynki stacyjne roiły się od nieszczęśliwego ludu wygnańców. Żydów wysiedlają Rosjanie masowo, bez żadnych wyjątków, z całej zachodniej części Kurlandii i z całego szeregu miejscowości i miast guberni kowieńskiej, jak z Poniewieża, Kowna, Wiłkomierza. Tysiące tego ludu muszą w ciągu kilku dni opuścić swoje siedziby, porzucić mienie i jechać przymusowo na wschód. Tych, których widziałem, pędzą przeważnie do Połtawy i guberni połtawskiej. Masy zbiedzonych nędzarzy, starców ledwie stojących na nogach, niedołężnych pokrzywionych, takich, jakich się tylko po kramach i zaułkach miasteczkowych widzi, a których nigdy w podróży się nie spotyka, bo z pewnością nie jeżdżą nigdy, staruszek o oczach łzawiących i zakrwawionych, wyrwanych skądś z głębi betów i bebechów z ciemnych nor miasteczkowych mieszkań żydowskich na światło dzienne, kobiet młodych i średniego wieku, dzieci, mężczyzn, tłoczyły się w strasznym zaduchu wagonów i wylały się dziwacznym obozowiskiem na peronie w Kałkunach. Młodych mężczyzn prawie że wśród nich było, dostrzegłem ich zaledwie jakiś dziesiątek w tłumie. Wszystko to w popłochu, w jakimś czadzie oszołomienia, zalęknione, przygnębione, zawstydzone, narażone na męki upokorzenia nie lżejsze od mąk materialnych. Tłum nędzny, zhańbiony, jak wrzód bolesny. A przecie to ból ludzki, krzywda ludzka w tej tłuszczy nieszczęsnej, zadana okrutnie, cynicznie, na zimno, przez wielkie potężne mocarstwo, które jest panem i żąda uznania siebie przez ten lud za Ojczyznę, biorąc zeń podatek, ofiarę krwi do armii, a dając mu mękę, ograniczenie praw, niedolę, pogromy, krzywdę krwawą. To odwet wielkiej Rosji na bezbronnych Żydach, własnych poddanych, za klęski, które jej wróg zbrojny na polach bitew zadaje. Im cięższe Rosja ponosi klęski, im boleśniejsze pobiera ciosy, tym okrutniejsza staje się wewnątrz dla własnych poddanych i w pierwszym rzędzie dla

Żydów. Tyran zwyciężony, barbarzyńca bity – staje się najokrutniejszy, jak zwierzę, które wywiera zemstę na słabych i bezbronnych na ból, zadany mu przez silnych. Zaiste – zdaje się, że Rosja coraz więcej walczy z Żydami, niż z Niemcami. Pozorem do masowego wysiedlania Żydów jest to, że niby uprawiają oni szpiegostwo i pomagają armii nieprzyjacielskiej. Niedołęstwo własnego dowództwa, własnej organizacji wojennej i technicznej starają się władze rosyjskie usprawiedliwić legendą o Żydach. Jest to akcja planowa, polityczna, stylowa w moskiewskich metodach rządzenia. Niepowodzenia i klęski zrzucają się na winę niewinnych. Potrzebny jest kozioł ofiarny, a nim jest Żyd. Na początku wojny był moment flirtu z Żydami. Władze bały się ruchów rewolucyjnych, których najskuteczniejszymi agentami są zazwyczaj Żydzi, pariasy Ludów. Żydom obiecywano pewne ulgi na przyszłość, pewne nadzieje zmiany stosunku państwa do nich. Skrajna prawica rosyjska bratała się z Żydami, sam Puryszkiewicz w ogniu patriotycznego zapału całował się z Żydami. Żydzi też zaczęli udawać patriotów, bogaci ofiarowywali wielkie składki na Czerwony Krzyż, na cele państwowo-patriotyczne, wodzireje pisali odezwy, pełne zapału i patosu o wspólnej Ojczyźnie itd. Żydki biegali z portretami cesarskimi, ze sztandarami, z hymnem carskim w manifestacjach „patriotycznych", robiąc tłum i pozór zapału w miastach kresowych Litwy i Rusi oraz Łotwy na tle oziębłego i wyczekującego stanowiska miejscowych ludów chrześcijańskich. Politycy i inteligenci żydowscy, łudząc się zwycięstwem Rosji, uwierzyli szczerze w zwycięską przyszłość liberalizmu rosyjskiego, który im zapowiadał wybawienie z ucisku i spełnienie ich tęsknoty – równouprawnienie. Stali się rzecznikami moskalofilstwa. Wielu z nas to oburzało i gorszyło. Aninka moja, widząc zachowanie się Żydów, nabrała do nich głębokiego wstrętu i nienawiści jako do plugawego ludu, który liże rękę tego, co go bije i na lizaniu opiera swoje nadzieje. Istotnie tak było, aczkolwiek ja patrzałem na to raczej, jak na tragedię, niż jak na istotny pochlebczy zapał lizania. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że istotnie w naturze żydowskiej, okaleczonej przez niewolę i prześladowania, jest dużo nikczemności i podłości, obok niektórych cech dodatnich. Żydzi przez czas jakiś zdawali się nawet triumfować, i w roli sprzymierzeńców liberalizmu rosyjskiego (kadetów), urządzali wspólną z nimi nagonkę na Polaków za antysemityzm polski i stawali się z tego tytułu agentami centralizmu państwowego w stosunku do Polski. Ale w toku wojny, w miarę niepowodzeń rosyjskich i ujawnianych licznych epizodów zdrady i pomocy ze strony Żydów armiom nieprzyjacielskim – bo szary przeciętny tłum żydowski nie mógł pójść cały za głosem orientacji swych polityków i, kierując się instynktem, sprzyjał serdecznie Niemcom – stosunki się zmieniły. Im większa była klęska Moskali, tym bardziej władze wojskowe, a za nimi cywilne, a za nimi i armia, a za nią i ogromne zastępy opinii rosyjskiej przypisywały winę Żydom i imały się ich prześladowania. Stało się tak, że Żydów zrobiono kozłem ofiarnym wojny. Zaczęły się pogromy Żydów w miasteczkach polskich przez wojska, wieszanie winnych i niewinnych. Żydzi usiłowali się bronić w sposób niezbyt godny i szlachetny. Oto zaczęli obwiniać Polaków jako właściwych oprawców tych prześladować, tłumacząc, że wojsko by tego nie robiło i władze by ich nie prześladowały, gdyby nie było donosów od Polaków. Chcieli się trzymać oburącz Rosji, aby nie tracić swoich szans na przyszłość. Ale źle obrachowali. Rosja i jej tyrani potrzebują kozła ofiarnego na umorzenie gniewu swego półdzikiego ludu za klęski, za tyle ofiar i krwi, zmarnowanych na wojnie bez powodzenia i skutku. Trzeba gniew ludu odwrócić od istotnych winowajców, od niedołężnego tyrana, nie umiejącego krwi i ofiar ludu użytkować; oto geneza tych prześladowań żydowskich, które wyrosły obecnie do stopnia, przypominającego prześladowanie średniowiecza, jak jakieś wskrzeszenie zmory czasów barbarzyństwa. Wpierw wysiedlano Żydów z poszczególnych gmin i

miasteczek pasa wojennego, teraz wysiedlane są całe powiaty, gubernie i miasta. A jak się obchodzą z wysiedlanymi, jak ich traktują. Im większe klęski na Moskali; tym dziksze prześladowanie Żydów. Niepodobna, aby niebo nie dało pomsty na Moskali!

7 (20) maja, rok 1915, czwartek
Ciekaw jestem, czy pomoże Rosji do zwycięstw wysiedlenie Żydów, czy to Żydzi zrobili, że Żmudź stała w czasie wojny otworem, niestrzeżona, nie broniona, nie fortyfikowana, że po pół roku stania nad Dunajem i po wzięciu Przemyśla Rosjanie okazali się nieprzygotowani do odparcia ataku Niemców i Austriaków w tamtym kierunku, choć się przecie ataku tego spodziewano; czy to Żydzi są winni, że pomimo straszliwej przewagi liczebnej wojsk moskiewskich, zawsze okazują się nagle „przeważające“ siły niemieckie tam, gdzie właśnie się wymierza główny atak wroga? A gdzież są te rosyjskie bajeczne ilości, gdy zawsze nie ma ich tam, gdzie sytuacja jest zagrożona? Czy to Żydzi winni? Czy oni dyktują zasady strategii dowódcom moskiewskim? Czy oni winni, że masa rosyjska działa zawsze bez planu, bez określonej myśli przewodniej, omackiem, orientując się dopiero po fakcie, po ciosie, gdzie i w jakim kierunku się nawalić, aby wstrzymać postęp przeciwnika? Co wiedzą Żydzi i jakiej pomocy udzielić mogą wojskom niemieckim? Co mogą powiedzieć Niemcom drobnomiasteczkowi „szpiegowie“ i „zdrajcy“? Co najwyżej mogą udzielić wskazówki, którym gościńcem cofnęli się Rosjanie, gdzie nocowali, gdzie popasali, ilu ich było. To są drobiazgi, które mogą być doraźnie szkodliwe, ale nie decydują o losach kampanii. Nie przez miasteczkowych nędzarzy żydowskich mają Niemcy swoją organizację szpiegowską w samym łonie sztabów rosyjskich, nie przez nich mają swój świetny mechanizm wywiadowczy. Bez Żydów mają Niemcy swój znakomity atut w niedołęstwie dowódców rosyjskich, w zupełnej dezorganizacji całego mechanizmu wojennego Moskali. Wysyłali Moskale na wschód poddanych niemieckich i austriackich, wysyłali kolonistów niemieckich z Polski, obecnie wysiedlają Żydów, a tymczasem jak bili ich Niemcy, tak biją i coraz to mocniej, coraz srożej. Dobrze mówi Bułat, że z równym skutkiem dla wojny i z równą „sprawiedliwością“ mogą nagle Moskale wysiedlić na przykład wszystkich blondynów lub szatynów. Bo jeżeli znajdzie się, dajmy na to, szpieg blondyn, to dlaczego inni blondyni nie mogą być też szpiegami, – oto logika moskiewska. To ohydne prześladowanie Żydów, które się rozpoczęło i doszło do jakiegoś szału orgii po ostatnich niepowodzeniach rosyjskich – to już chyba „początek końca“, znak ostatecznej dezorientacji, bankructwa, rozkładu.
W dzisiejszej depeszy wodza naczelnego nic osobliwego. Wielkie bitwy się toczą na całym olbrzymim froncie od rzeki Pilicy do Bukowiny. Na północ od Jarosławia, który oczywiście już jest w ręku austriackim, Austriacy i Niemcy umocnili się już na prawym brzegu Sanu. Dalej za Przemyślem wymieniane są miejscowości: Husaków, Drohobycz, Stryj, Dolina, Delatyń, Kołomyja. Na Żmudzi front walk: Kurszany, Rosienie, Ejragoła. Operacja galicyjska oczywiście rozwija się wspaniale. Cios dla Moskali jest tu potężny i groźny. Sytuacja nadzwyczaj ciekawa. Łajdaki te! Żeby ich tam prędzej zmiotło, żeby prędzej sobie karki pokręcili i w łeb wzięli. Taka mnie już złość na Moskali, że wypowiedzieć nie mogę. Lazą całymi miesiącami, depczą się bez sensu i planu ani porządku, pchają się we wszystkie przełęcze w Karpatach, gdzie tylko na przejście natrafią, brną po brzuch w śniegu przez góry, miesiącami pełzną, walą się, pchają, już nazywa się, że wyszli na „południowe zbocze“ Karpat na stronę węgierską, aż tu w kilka dni już ich nie ma ani śladu. I ciągle tak: lazą miesiącami, a uciekają we trzy dni jak zdmuchnięci. To samo w Prusach dwukrotnie, to samo w Karpatach, to samo na Bukowinie, to samo w Galicji Zachodniej. Lazą, depczą się, męczą siebie i swoich ludzi, męczą ludy, narody i mieszkańców, przez których ziemie się przewalają, znęcają

się, kradną, rabują, niszczą, przetwarzają kraje w pustynie, gdzie wlazą, tam, jak świnie, umieją tylko albo nasadzać prawosławie, jak w Galicji, albo mordować i wywozić ludność, jak w Prusach, kompromitując siebie, nie umiejąc nic tworzyć, nic zorganizować, bez myśli, bez planu, bez głowy, jak kasza jakaś, jak bigos, a potem uciekają w nieładzie jak hordy, we trzy dni, zostawiając śmiecie i brudy, ohydę i głupotę, tracąc dziesiątki tysięcy ludzi, ze złością mściwą i okrucieństwem w sercu. Co za państwo, co za naród, co za barbarzyństwo. I jak można na takim państwie, na takiej hordzie, na takiej kaszy fundować jakieś nadzieje, jakieś „orientacje"? Wszak to złodzieje, łajdaki i durnie, jak dla innych, tak dla samych siebie. Żadnej myśli, żadnego sensu, żadnej organizacji.
Przed moim wyjazdem, który ma już za tydzień nastąpić, załatwiłem sprawę grobu Aninki. Obstalowałem pomnik w zakładzie Baranowskiego podług rysunku Stefusia, z czerwonego granitu za 230 rubli. Pomnik ten będzie postawiony dopiero w lipcu, zapewne więc beze mnie. Zajmie się tym Marynia, która też Łotyszów zaprosi na poświęcenie pomnika, jak to oni chcieli i z czego by się Aninka moja cieszyła. Grób Aninki będzie obsadzony kwiatami, będą bzy po czterech rogach, bzy, które ona tak lubiła i które nam przypominają jedną z pierwszych naszych wycieczek za miasto na Trakt Połocki w lipcu r. 1911; oczywiście, że nie kwitły już wtedy, ale niemniej są epizodem pamiętnym z rozmowy naszej, epizodem, który w opowiadaniu byłby blady, toteż się nie kuszę o streszczanie jego; w pamięci jest on żywy, tu ma swój koloryt, swoją treść i wagę w prześlicznych dziejach związku naszego i dość na tym. Grób już jest obłożony darnią i uformowany symetrycznie, a potem będzie obsadzony pnącymi się roślinami po bokach, z kwiatami w środku. Szkoda mi opuszczać na wyjezdnym ten grób kochany, tę pamiątkę serdeczną, pod którą bezpośrednio, fizycznie leżą kości Aninki, leży ona kochana. Daleki będę, ale sercem przy tych kościach. Aninko moja! Gdy czasem pomyślę trzeźwo, zastanowię się chłodno, jakby jakiś czad i naleciałość ze siebie strącając, nie mogę uwierzyć, że prawdą i rzeczywistością jest to, że ona umarła, a ja jestem. Zdaje mi się to nieprawdopodobnym, niemożliwym, kłamstwem i obłędem. Bo jakże ja jestem bez niej, jak mogę być ja, Michaś, Michasik, a Anny, Anineczki nie ma? I budzi się wtedy we mnie twardość woli, aby do kresu spełnić przeznaczenie, spełnić powołanie, które z tej śmierci wyniosłem.

8 (21) maja, rok 1915, piątek
Jakaż byłaby różnica w moim stosunku do wielkich wypadków tragedii światowej, gdyby Aninka żyła! Natura i treść stosunku byłyby zapewne te same, bo zaiste nie są one u mnie przygodne, ale siła duchowego reagowania na wypadki byłaby bez żadnego porównania głębsza, potężniejsza, barwniejsza. Jestem z natury wrażliwy, ale dopiero w zespole, w czynnym współudziale myślenia i czucia z Aninką zdobywałem wraz z nią całą pełnię wytężenia władz psychicznych, całą ekspresję i barwę procesów duchowych. Te same wrażenia, te same wypadki, te same radości, uciechy i smutki – wyrastały w naszym związku współtwórczym z Aninką do poziomów całkowitej potęgi odpowiednich procesów ducha, na jaką nas było stać, i brały postać, której nigdy w samotnym osobniczym czuciu nie są w stanie mieć. W tym życiu głębokim we dwoje – mieliśmy naszą moc, naszą twórczość wielką, nasze szczęście. Jej śmierć jest kalectwem moim. Pamiętam, jak już same studia historyczne lub drobny tok powszednich spraw i ruchów, w których udział brałem, dawały nam we współżyciu naszym wspaniałą twórczą potęgę procesów myślenia i czucia i ożywiały się nam wizjami prawdy, sprawiedliwości, tęsknoty, szlachetnych uniesień ducha. A cóżby dopiero te wielkie wypadki, te żywe dzieje, których współcześnie świadkami jesteśmy! Każdy ból, jak upadek Przemyśla, jak zabór Galicji przez hordy moskiewskie, jak

zwątpienia wszelakie o wypadkach i losach tej wojny, jak podłość endecji, jak głupota mas ludzkich, ciągnących jarzmo niewoli i spełniających jej sprawę lub każdy wielki hymn wesela, grający uniesieniem w sercu, jak bohaterstwo Legionów, ich wiara, wielkie ciosy, chłoszczące w obecnej kampanii wiosennej tłuszczę moskiewską, rehabilitacja wojenna aureoli Austrii, perspektywy przeklętej hydry zdeptanej – wszystko by to jakże wielkim płonęło w nas ogniem, gdybyś Ty była, Aninko! Aninko, mój Aniele, mój Duchu skrzydlaty, siło i geniuszu mój! Tyś była morzem, Tyś była światem! Ty, słaba fizycznie, wątła, śmiertelnie chora od dawna, wyczerpująca się w tej potędze twórczości naszej, Ty, ogniu kochany, byłaś Ideą żywą, Prawdą i Siłą! Jak one, byłaś ofiarną, wielką, całą. Jest święta tajemnica w Tobie, córko Ludu Łotewskiego, kobieto wątła, która wielkość posiadłaś i w łonie swym nieśmiertelność i całą szlachetność Ludzkości i Światła streszczałaś. Nie zwątpię o Człowieku, gdy takie, jak Ty, Ludzkość nasza wydaje okazy! Jesteś weselem i dumą Człowieka, Anno, jesteś uszlachceniem Stworzenia, tytułem nieśmiertelnym Wolności i prawdy, aktem wiary i pretekstem przeciwko zwątpieniu. Zło umrze, gdy w życiu są tacy, jak Ty. Nie wypleni zbrodnia ani podłość życia i Ludzkości, gdy żywe są źródła, rodzące Ciebie i takich, jak Ty. Amen, Aninko, amen, dziecko moje, dziewczyno Łotewska, niewiasto Ludzka, duchu mój i nasz! Kocham Ciebie całą siłą, całą wiarą, całym życiem. I obym mógł dać dowody, oby życie moje spełniło tę wielką, tę świętą Ideę, która z Ciebie jest. Pójdę, Aninko, i wszystko oddam temu, co wiesz, wszystko złożę w ofierze Sprawie, jeżeli tylko ofiara będzie przyjęta i jeżeli wartość jej mierzyć się będzie miarą ducha i wiary, bo, niestety, nie wiem, czy zdatności, czy realna przedmiotowa treść sił moich – okaże się użyteczną i możliwą do wzięcia i zastosowania.
O dzisiejszym biuletynie wodza naczelnego: kapitalne są dwa momenty w wielkiej bitwie zawiślańko-galicyjskiej od rzeki Pilicy do Bukowiny; jeden – to stwierdzenie, że wielkie siły austro-niemieckie nie tylko się zdołały utrzymać, ale jeszcze rozszerzyć na prawym brzegu Sanu między Jarosławiem a Sieniawą, i drugi – to określenie linii frontu na południowym wschodzie od Przemyśla linią Lutków-Jatwiegi-rzeka Strwiącz. Z zestawienia tych pozycji i ruchów ujawnia się przede wszystkim fakt głębokiego okrążania Przemyśla, dalej kierunku ruchu na Lwów i wreszcie zdobywanie podstawy operacyjnej dla ewentualnej ofensywy na Lublin-Chełm, stanowiącej kapitalny moment w stosunku do losów Warszawy. Inne detale są mniej ważne. Gdyby tylko zdobyta została linia Sanu i północnego Podgórza Karpackiego na froncie Drohobycz-Stryj-Dolina, co już zostało wykonane, to już by sam przez się sukces niemiecko-austriacki był wielki. Okazuje się wszakże, że to był tylko pierwszy etap, pierwszy akt nieprzerwanej ciągłej operacji, i że mamy tu do czynienia z operacją na jeszcze większą skalę, skierowaną bodaj do wyparcia Moskali z Galicji i zawładnięcia Warszawą i co najmniej linią Wisły. W stosunku do zamierzenia tej skali obecne stadium operacji jest dopiero wczesnym, ale rozwój odbywa się, przynajmniej dotąd, skutecznie. Jest to oczywiście zadanie operacyjne wprost olbrzymie, które się mierzyć musi wysiłkami i planem straszliwej potęgi i ścisłości i wymaga czasu. Tu dopiero stajemy wobec widowni gry przepotężnej. Wszyscy wyczuwają wielkość stanowczego momentu i powszechna staje się niewiara do Rosji w tej grze; istotnie bowiem pierwszy akt i jego dalszy ciąg dotychczasowy wypadł dla Rosji bardzo kompromitująco. Ale przesądzać o kapitalnych wypadkach tej przeolbrzymiej operacji jeszcze przedwcześnie. Tymczasem zdaje się już nieodwołalnie dojrzewać nowy wielkiej wagi moment katastrofy dziejowej – interwencja zbrojna Włoch na rzecz Trójporozumienia, to znaczy przeciwko Austrii i Niemcom. Będzie to wielka komplikacja i wielki ciężar dla Niemiec i Austrii, ale nie sądzę, aby był decydujący. Ministerium Salantery utrzymało władzę, parlament włoski uchwalił kredyty wojenne, ruch we Włoszech na rzecz wojny olbrzymi. Chyba że to się

już zażegnać nie da. Sądzę, że to tym lepiej, bo katastrofa się jeno skomplikuje, a przeto dojrzeje i rozwiąże się radykalnie. Niemców jako takich nie kocham, ale widzę w nich bicz Boży historii.

9 (22) maja, rok 1915, sobota
W depeszach żadnych nowych faktów wybitnych. Nad Sanem w dolnym jego biegu u ujścia do Wisły Rosjanie trzymają się na obu jego brzegach, dalej w górę rzeki na południe aż ku okolicom Przemyśla oba brzegi Sanu są w ręku austriacko-niemieckim, pod Przemyślem Rosjanie władają Sanem, który tu płynie przez obręb forteczny, dalej, natychmiast za Przemyślem, front zawraca i biegnie na wschód ponad Husakowem, Samborem i Drohobyczem, kierując się na Stryj. Husaków, Sambor i Drohobycz, a bodaj że i Stryj – są już w austriackim ręku.
Rozeszła się dziś pogłoska, zwłaszcza w kołach żydowskich, uporczywie i dość kategorycznie podawana, że ma być wydany rozkaz o wstrzymaniu wysiedlania Żydów, a nawet bodaj o powrocie wysiedlonych. Oczywiście, że sprawa ta bardzo gorąco zajmuje Żydów. Wśród Żydów ogromne poruszenie z powodu masowego ich wysiedlania. Nic dziwnego, bo nawet osoby niezainteresowane, chrześcijanie – nie mogą być obojętne na widok tych strasznych prześladowań i tej nędzy, tej krzywdy, która się na oczach naszych demonstruje. Znam nawet antysemitów, ludzi, którzy nie lubią Żydów, którzy wyznają zasady bojkotu, a których jednak gorąco i szczerze oburza to, co władze moskiewskie z Żydami robią. Elementarne uczucie ludzkości nie może się nie burzyć na widok tej krzywdy masowej. Tylko ludzie bez żadnego uczucia moralnego, ludzie źli i ostatecznie oschli w zdemoralizowanej atmosferze przywileju i egoizmu bądź stanowego, bądź narodowego, lub jacyś ciemni brutale, niewiele się od zwierząt różniący, cieszą się z tej krzywdy i liczą, że w ten sposób kraj się od zachłanności żydowskiej uwolni. Ale to jest mniejszość znikoma, wyjątki tylko. Przez cały ten tydzień ciągną ulicami Wilna furmanki, pełne Żydów z Wiłkomierza, Szyrwint itd.; za nimi ciągną furmanki, naładowane rzeczami nieszczęśliwych wygnańców, fury koszów, gratów, bebechów, nędznych brudów, jakichś worów itd. Ulice są zalane tymi przybyszami, którzy jednak muszą wędrować stąd dalej. W punktach koncentracji wygnańców, dokoła ich postojów i gospod, przy biurach komitetów, którzy się nimi zajmują, gęste tłumy żydostwa zalegają ulicę. Prócz poruszenia tą krzywdą, tym widokiem i sprawą pomocy nieszczęśliwym, wielkie jest zaniepokojenie wśród Żydów wileńskich o własny ich los; niewykluczona bowiem jest możliwość wysiedlenia Żydów i z Wilna; a jest tu ich przeszło setka tysięcy, poza tym, tu w Wilnie, jest główne siedlisko wszelkich ich komitetów, całej ich organizacji pomocy ofiarom wojny itp. Wygnanie Żydów z Wilna byłoby ciosem dla całej ich organizacji. Ewentualność rozkazu o wstrzymaniu wysiedlenia wydaje się jednak prawdopodobna. Skandal tego prześladowania był tak wielki i głośny, że mogła być presja przeciwko temu ze strony sprzymierzeńców Rosji – Anglii i Francji; pożyczka też miliardowa wewnętrzna, którą zaciąga Rosja, mogła też ewentualnie w tym kierunku oddziałać, bo wpływy Żydów w bankach są silne, a Rosja dla realizacji pożyczki musi się z bankowymi sferami liczyć.
Wczoraj przejechała przez Wilno Elizka Komorowska, wracająca z Warszawy do Kowaliszek i wioząca Julka, rekonwalescenta po tyfusie, do domu. Julek otrzymał urlop na rok, to znaczy, że może już nie wróci wcale na wojnę. Marynia go widziała na dworcu kolejowym; wygląda podobno strasznie mizernie, jak Piotrowin wskrzeszony do życia. Sprawa dostawy do intendentury, która tyle kosztowała zabiegów Elizce i Maryni, upadła ostatecznie. Sprawa łapówki, danej Kaczanowskiemu, będzie umorzona, ale zarazem umorzona zostaje sprawa dostawy. Generał Daniłow w Warszawie, naczelnik całej organizacji prowiantowania armii północno-wschodniego frontu, z

którego protekcji Elizka korzystała i przez którego starania swe kierowała, wręcz oświadczył, że gdy w grę weszły w jakiejkolwiek postaci pieniądze, to już o udzieleniu dostawy nie może być mowy i trzeba już tylko Elizce siedzieć cicho. Sądzę, że cała ta sprawa z ujawnieniem łapówki była umyślnie przez intendenturę wileńską zainscenizowana, by usunąć Elizkę z Marynią, które się chciały narzucić przez protekcję z zewnątrz. Intendentura wileńska więcej ma zysku na tym, że załatwia wszelkie interesy dostaw w swojej klice zamkniętej, bez obcych intruzów, narzuconych jej z zewnątrz, niż te 1000 rubli łapówki Kaczanowskiemu, którymi Elizka z Marynią spodziewały się przełamać jej niechęć.

10 (23) maja, rok 1915, niedziela
Zielone Świątki! Piękne święto majowe. Spędzaliśmy je ongi z Aninką w Trokach, na wyspie naszej na jeziorze, na której zapewne dotąd jest ślad ogniska, rozkładanego przez nas w tym samym tradycyjnym miejscu. Ile słodyczy, ile pogody, ile wiosny w tych tradycyjnych naszych wycieczkach trockich, gdyśmy ginęli tam na dni parę we dwoje, sami dla siebie, wśród wysp na pięknym jeziorze! Było to niebo nasze. Rosół z kury i kartofle pieczone na ognisku na dalekiej wyspie, ręką i pomysłem Aninki przyrządzone, wypoczynek we dwoje, zwiedzanie sędziwych ruin, słowiki w zaroślach, kąpiel, wycieczki łódką, próby wioślarstwa Aninki, burza i fale na zwichrzonym jeziorze, to cisza, poszukiwanie włoszczyzny do rosołu na karaimskim wybrzeżu, wycieczka do Zatrocza, epizod z kapeluszem Aninki, zniszczonym przez ulewę na jeziorze, karmienie kózek, pasących się na wyspach –- i zawsze we dwoje ze sobą, dla siebie, sami! Ile goryczy dziś w tych wspomnieniach, gdy Aninki zabrakło! Nie chcę zwiedzać teraz tych pamiątek, byłoby to zbyt bolesne dla mnie. Jezioro i wyspy trockie – to rezerwuar pamiątek moich, tło naszego poematu w jego najsłoneczniejszych epizodach, krótkich, ale szczególnie intensywnych. Na piśmie niepodobna ani w dalekim przybliżeniu odtworzyć tego, czym była Aninka dla mnie i jaką była w ogóle. Człowiek – to rzecz nieodtwarzalna, a zwłaszcza człowiek taki, jakim Aninka była. Siły jej indywidualności, potęgi i bogactwa jej natury psychicznej i fizycznej, piękna i kolorytu jej elementów oraz ich skojarzenia bajecznego, wyrazistości czynnego stanu jej władz ducha i zmysłów ciała – nigdy nikt się nie dowie; utonęły one we mnie, w czuciu moim, i żadne pióro, żadne słowo nie zdoła uplastycznić ich naturalnej prawdy. Napiszę teraz kilka słów o jednej zadawnionej sprawie, w której uczestniczyłem, a która nie dała się zlikwidować przed moim wyjazdem. Jest to sprawa Iwana Łuckiewicza, tak głośna w Wilnie przed rokiem i która mię też osobiście tak bardzo poruszała. Komisja, utworzona ze mnie i przedstawiciela „przeglądowców“ (Bronisława Krzyżanowskiego) oraz przedstawiciela grupy białoruskiej (wpierw Wacława Iwanowskiego, a później, po jego ustąpieniu, Kraskowskiego) dla zbadania natury stosunków Łuckiewicza z ukraińskim unickim popem Hanyckim oraz ewentualnie z hakatystami, przez cały rok ciągnęła swe dochodzenie. Do wiosny zeszłego roku prace komisji szły względnie normalnie szybko, od lata zaś zeszłorocznego i potem po wybuchu wojny komisja prawie że nie była czynna. Sama sprawa zresztą straciła odtąd na aktualności i zwłaszcza jej podłoże społeczne i narodowe straciło na wyrazistości poprzedniej. W jesieni i zimą komisja wszakże zebrała się jeszcze parę razy i przesłuchała jeszcze paru świadków (Wacława Studnickiego i Dominika Siemaszkę). Na ostatnim posiedzeniu komisji (zdaje się – w lutym) byliśmy już tego zdania, że należy dochodzenie śledcze uznać za zakończone i zabrać się do wniosków dla uchwalenia ostatecznej rezolucji. W wymianie zdań między nami zaznaczył się mniej więcej taki szkic domniemanej rezolucji, że należy uznać, iż prawdopodobnie ów Białorusin, o którym wspomina Hanyckij w listach do wodza hakatystów Tiedemanna, jest istotnie Iwan Łuckiewicz

(chociaż nic z działania Iwana nie upoważniało Hanyckiego do takiego traktowania go w korespondencji z Tiedemannem, jak on to zrobił), dalej, że stosunki Iwana z Hanyckim miały cechę stosunków towarzyskich i handlowych i wreszcie że z hakatystami Iwan stosunków nie miał. Może byśmy nawet na tym posiedzeniu komisji i zakończyli uchwałą rezolucji, gdyby jeszcze nie pewien odcień różnicy między wnioskiem Krzyżanowskiego a moim i Kraskowskiego. Krzyżanowski chciał bowiem, abyśmy orzekli kategorycznie, że, zdaniem komisji, osoba „Białorusina" z listów Hanyckiego jest tożsamą z osobą Łuckiewicza, my zaś nastawaliśmy na formule prawdopodobieństwa czy przypuszczenia o tożsamości, nie zaś kategorycznego jej stwierdzenia. Słowem – uchwała rezolucji została odłożona do następnego posiedzenia. Tymczasem to następne już się nie odbyło, Krzyżanowskiego i Kraskowskiego bardzo trudno zwołać na posiedzenie, bo zawsze któryś z nich nie ma czasu. Potem zaś Kraskowski nadesłał list, że na skutek jakiegoś osobistego zatargu z Iwanem wycofuje się z komisji; wkrótce potem dowiedziałem się znów, że Kraskowski odwołuje wycofanie się, ale teraz jest tak chory obłożnie, że o posiedzeniu ani mowy być nie może. Tymczasem nadszedł mój wyjazd. Żałuję, że sprawa ta nie dała się zlikwidować, bo przewiduję, że Krzyżanowski, który jest źle usposobiony do Iwana i nie ma wiary w jego niewinność w tej sprawie, skorzysta z zawikłań w zmianie osób w osobistym składzie komisji, aby ją zerwać. A dla Iwana będzie to pręgierzem, na który on nic poradzić nie może. Napisałem dziś list do komisji, zgłaszając moją dymisję z powodu wyjazdu i załączając moje votum w sprawie.

11 (24) maja, rok 1915, poniedziałek
Stało się. Włochy wypowiedziały wojnę Austrii. Mamy więc nową komplikację w olbrzymiej katastrofie, która szarpie świat. Sądzę, że to jest raczej lepiej, niż gorzej. Tylko w takim razie smuciłbym się z tego faktu, gdybym przypuszczał, że interwencja Włoch może odegrać rolę czynnika decydującego na rzecz wyraźnej porażki Niemiec a zupełnego tryumfu koalicji wraz z Rosją, ale myślę, że tak nie jest. Przewaga wojenna Niemiec jest tak wielka i tak jaskrawa, że rzucenie nawet 1½ miliona świeżego wojska włoskiego na szalę wypadków nie może chyba dać kategorycznej porażki Niemiec. Co najwyżej zmniejszy nieco, osłabi ich przewagę. Zresztą Niemcy i Austria są, jak się zdaje, przygotowane do tej nowej napaści i mają siły, skoncentrowane na granicy włoskiej. Jeżeli zaś ten nowy czynnik nie będzie w stanie przeważyć ostatecznie szalę na rzecz rozbicia Niemiec i Austrii, to to, że się wojna rozrośnie i skomplikuje i że strony wojujące jeszcze się bardziej nawzajem wyczerpią i osłabią, to tylko ku lepszemu. Wszak ostatecznie nie o mocarstwo Hohenzollernów jako takie mi chodzi w mojej orientacji. Że ewentualnie zwycięskie Niemcy nie będą w tym stopniu potężne, że zdołały, nawet po zwycięskiej wojnie, narzucić Europie swą bezwzględną dyktaturę – to było jasne już przed wystąpieniem Włoch. Jeżeli wystąpienie Włoch jeszcze się przyczyni do wyczerpania Niemiec i jeszcze jedną tamę stworzy ich dyktaturze, to tym lepiej. Natomiast ze stanowiska politycznego wystąpienie Włoch jest, zdaniem moim, stanowczo dla sprawy wolności dodatnie, bo komplikuje ogromnie sytuację, wprowadza nowe potężne powikłania, zaognia konflikty antagonizmów nawet wewnątrz samej koalicji. Im większa komplikacja, im głębsze antagonizmy w ich najczynniejszym stanie, tym radykalniejszy, głębszy będzie przewrót stosunków w rozwiązaniu. A to jest zawsze dodatnie dla tych, którzy nic albo mało co mają do stracenia, a do zyskania dużo. Jest to poniekąd psychologia rewolucji. Dla „*beati possidentes*" pożądany jest spokój, równowaga, bierny stan antagonizmów, a choćby pozór prostoty i *status quo*. Natomiast dla ludów ujarzmionych, dla krajów zdeptanych, wreszcie dla demokracji w tych państwach, w których rządzi gwałt, pięść i przywilej, dobrą jest największa

komplikacja w najczynniejszym stanie. Bardzo ciekaw jestem wypadków tej nowej wojny włoskiej. Wypowiedzenie przez Włochy wojny nie sprawiło na mnie bynajmniej przygnębiającego wrażenia. Co za różnica między tą wieścią a nieszczęsną marcową wieścią o kapitulacji Przemyśla. Przemyśl prawie przechorowałem, teraz prawie że się cieszę. W ogóle zresztą nie wyczuwa się w opinii takiego momentu doniosłego z okazji wystąpienia Włoch, jaki się wyczuwało w okazjach takich, jak upadek Przemyśla. Naturalnie, że moskalofile i Moskale cieszą się, ale nie ma nawet już u nich tej buty poprzedniej. Świeże wypadki na Żmudzi i w Galicji mocno podkopały ich wiarę w skuteczność ich sprawy. Dziwi mię wszakże, że sfery moskiewskie nie zainscenizowały w Wilnie z okazji wystąpienia Włoch zwykłej hałaśliwej manifestacyjki „patriotycznej". Nie starczyło pewno „duchu" po efektach galicyjskich. Co tu teraz gadać o rychłym zakończeniu wojny, kiedy sytuacja, zamiast się upraszczać i zbliżać do jakiegoś rozwiązania, dopiero się jeszcze wciąż komplikuje. Katastrofa jest dopiero we wczesnych stadiach rozwoju. A któż jeszcze przewidzieć zdoła, jakie nowe komplikacje się potworzą. Interwencja Włoch – to cały nowy bigos na Bałkanach. Porusza to Grecję, porusza, acz w inny sposób Rumunię, bardzo poważnie porusza Serbię, która ma głębokie antagonizmy z Włochami w swej idei wielkoserbskiej w stosunku do wybrzeży adriatyckich. Serbia znajduje się nagle pozornie i formalnie we wspólnym obozie z Włochami; prasa serbska piorunuje na Włochy za to, że rzekomo wnoszą one fałszywą nutę w dzieło koalicji, wprowadzając element imperializmu tam, gdzie dewizą jest rzekomo swoboda i prawo narodów. Polityka mocarstw daleka jest oczywiście od pojęć sprawiedliwości i etyki. Ale bądź co bądź w roli Włoch jest rażąca cecha zdrady i jaskrawe podeptanie względów honoru i etyki. Wystąpiły one przeciwko swoim formalnym sprzymierzeńcom, zdeptały zobowiązania i układy, nie licząc się z żadnymi względami już nie tylko należnej wdzięczności, ale nawet elementarnej solidarności w ciągłości ich własnej polityki. Włochy piastują oczywiście tradycje Machiavellego, ideały dorabiania się na przewrotności i rabunku. Jest w tym pewna niewątpliwa siła żywotności, ale jest też głęboka perwersja bandytyzmu. Poznać Cię można, wspaniała Italio, spadkobierczyni wzorów Wenecji i republik bandyckich oraz księstw Twoich wielkich kondotierów. Piękna jesteś w swoim cynizmie życia, ale też szelmą jesteś chytrą i zbrodniczą.
Z wypadków wojny na froncie Galicyjskim – żadnych szczególnych nowin. Zdaje się, jak żeby tempo dalszej ofensywy niemiecko-austriackiej osłabło. Sytuacja jest mniej więcej nieruchoma.

12 (25) maja, rok 1915, wtorek
Żegnam moją straż ochotniczą. Czy na długo, czy może na zawsze – nie wiem. Nie wiadomo, ile czasu potrwa moja nieobecność. Do dymisji ze stanowiska prezesa Straży Ochotniczej się nie podaję tymczasem, bo placówki tej nie chcę porzucać na wypadek powrotu. Oczywiście, że jeżeli moja nieobecność zbyt długo się przeciągnie, Towarzystwo będzie musiało wybrać sobie nowego prezesa. Tymczasem zastępcą prezesa jest Zasztowt jako najstarszy z daty wyboru członek zarządu. Instytucję tę cenię i żałowałbym zerwać z nią związek. Wczoraj odbyło się posiedzenie zarządu, ostatnie pod moim kierownictwem. Ogółem od lutego, odkąd objąłem formalnie prezesurę w Straży, odbyło się 9 zebrań zarządu i tok spraw szedł bardzo raźnie. Moja osobista zasługa jest w tym niewielka, chyba ta, że spełniałem akuratnie wszystkie uchwały zarządu i utrzymywałem ruch spraw w ciągłym toku. Do rozwoju, więcej nawet, bo odrodzenia Towarzystwa Straży przyczyniła się bardziej ode mnie popularność naczelnika drużyny strażackiej, Jarockiego, jego zuchwałość w zamierzeniach, co imponuje zawsze ludziom, dalej nade wszystko to, że drużyna ochotnicza strażacka była

traktowana jako kadr przyszłej milicji, co wielu ochotników do jej szeregów ściągało, wreszcie dobry dobór współpracowników tak w dowództwie oddziałów strażackich, jak w nowym składzie zarządu. W ostatnich paru tygodniach drużyna strażacka już się zaznaczyła czynnie i dzielnie na pożarach, i półurzędowo mianowana została do utworzenia lotnych oddziałów milicji na wypadek ewakuacji Wilna przez władze. Teraz Straż Ochotnicza stoi już mocno na nogach. Kapitalnej wagi kwestią jest w tej chwili dla niej utrzymanie zapomogi od Rady Miejskiej, ale są wszelkie szanse po temu, że rzecz ta będzie pomyślnie osiągnięta.
Kwestia milicji w tej chwili nie stoi wyraźnie na porządku dzisiejszym. Przestała być sprawą tak aktualną, jak była przed paru tygodniami, bo ruchu Niemców w naszym kierunku nie ma, ale bądź co bądź organizacja milicji w pogotowiu już istnieje i w każdej chwili, w razie potrzeby, może się stać czynna. Powstawały tu już w pewnych kołach czy może tylko w pojedynczych głowach pewne projekty aktów patriotycznych na wypadek cofnięcia się Moskali. Tak oto wylągł się pomysł zgromadzenia tłumu ludu pod Ostrą Bramą, uproszenia księdza do przemówienia i następnie wyruszenia tłumnego w procesji do obecnego soboru prawosławnego na Placu Ratuszowym dla odebrania soboru tego na kościół (sobór jest przerobiony z zabranego kościoła katolickiego św. Kazimierza); poza tym, istnieje projekt dokonania po ucieczce Moskali jawnego manifestacyjnego zamachu na pomnik Murawjewa-Wieszatiela dla zniszczenia w oczach i pod egidą ludu tego znaku hańby. Pomysły te nie są jednak bardzo udatne, bo odpowiadałaby potem za nie milicja, która musi być neutralna i jeno władzom wojskowym tej lub innej strony walczącej ulegać może jako władzy z tytułu prawa wojny. Gdyby takie jakieś akty, jak wysadzenie pomnika Murawjewa itp. dokonane były pod egidą władz niemieckich lub choćby nawet władzy polskich Legionów, to milicja nie miałaby nic do tego; ale jako samorzutny eksces tłumu lub sprzysiężenia – tego by milicja, niestety z natury swojej nie mogła dopuścić. „Niestety“ – bo wszak w gruncie rzeczy każdy z nas by się cieszył z upadku przeklętego pomnika.
Wieczorem u mnie miało się znów odbyć zebrańko polsko-litewskie. Po niedojściu do skutku Biura Informacyjnego jako organizacji stałej z powodu odmowy demokratów litewskich, Witold Abramowicz spróbował jeszcze nawiązać w tej sprawie pertraktacje ze Ślażewiczem i wskórać tyle, że Ślażewicz mu oświadczył w imieniu partii Litewskiej Demokratycznej, iż do doraźnych aktów wzajemnego informowania się partia zawsze stanie chętnie. Na naleganie Abramowicza zwołałem dziś do siebie próbne zebrańko takiego doraźnego informowania się. Zaprosiłem tych, którzy byli poprzednio zapraszani do Biura: Ślażewicza, Vileišisa, Bułata, Šaulysa, W. Abramowicza, Piłsudskiego, Zasztowta i Józefa Bukowskiego. Próba całkowicie zawiodła. Przyszedł tylko Šaulys i Abramowicz. Zebranie do skutku nie doszło. Ślażewicza zresztą nie było w Wilnie.

13 (26) maja, rok 1915, środa
Złożyłem dziś przysięgę adwokacką. Był to już ostatni termin, albowiem jutro wyjeżdżam. Obawiałem się nawet, że już przysięga do skutku nie dojdzie i że wypadnie mi wyjechać bez niej. Byłby to wielki zawód dla mnie, bo w każdym razie chcę przed tym wyjazdem mieć przynajmniej tę zdobycz za sobą. Czy mi się adwokatura w praktyce przyda kiedykolwiek, czy nie – tego nie wiem, ale na zapas mieć tego nie szkodzi, a zresztą już sam tytuł, gdy się przebyło pomocnikiem przez lat 6, wart czegoś. Sekretarz Izby Sądowej obiecywał mi wpierw przysięgę na pierwsze dni maja. Gdym wyjeżdżał do Bohdaniszek, obiecał, że na czas nieobecności mojej nie wyznaczy terminu przysięgi. Tymczasem gdym się po powrocie zgłosił do niego, oświadczył mi, że już w maju wcale nie będzie ogólnego zebrania Izby, a bez ogólnego zebrania nie

może być przysięgi. Ubłagałem go jednak, pokazując mu paszport zagraniczny i gorąco prosząc o załatwienie tej formalności przed wyjazdem. Sekretarz wstawił się u prezesa Izby i zyskał dla mnie tyle, że prezes obiecał zarządzić *ad hoc* posiedzenie ogólnego zebrania Izby na dziś. Na ogólnym posiedzeniu muszą być obecni członkowie, przynajmniej po jednym, tak z karnego, jak z obu cywilnych departamentów Izby. Ponieważ dziś akurat jest sesja i karna i cywilna Izby, więc w czasie przerwy w sesji o południu zgromadziło się uroczyste *ad hoc* ogólne zebranie dla wysłuchania przysięgi mojej. Byłem już we fraku ze znaczkiem adwokackim w butonierce. Wraz ze mną czekał obstalowany przeze mnie stary ksiądz Olechno, który miał odbierać ode mnie przysięgę. Ksiądz Olechno uprzedził mię jednak, abym sam tekst przysięgi odczytał wprost z druku, bo on, ksiądz, nie będzie mi słów tej przysięgi dyktował. Zaiste – przysięga ta jest taka, że trudno księdzu katolickiemu ją wymawiać. Prócz wierności dla monarchy, posłuszeństwa prawu, obietnicy sumienności i rzetelności zawodowej itd., jest szczegół specjalny w przysiędze o tym, żeby „не писать и не говорить на суде ничего, что моглобы склонится на ослаблению православной церкви“. Takie faworyzowanie cerkwi prawosławnej i żądanie tego w przysiędze od wyznawców innych kościołów jest oczywiście dzikim barbarzyństwem i gwałtem nad sumieniem. Zrozumiałym byłoby żądanie szacunku dla religii jako takiej, ale specjalnie dla jednej, prawosławnej cerkwi...?! Ha, przecież to Rosja! Czym jest taka przysięga – któż tego nie wie. Jaki mus, jaki pan, taka też wartość „przysięgi“ poddanego, taki też sługa! Przysiągłem bez żadnego skrępowania sumienia mego tą „przysięgą“. Jak byłem wolny i posłuszny mojej własnej wierze, własnemu sumieniu i ideałowi, tak zostałem, wbrew obłudnym słowom carskiej „przysięgi“. Prezes Izby ogłosił mię za adwokata przysięgłego, powinszował i na tym się skończyło.
Są wieści, że wysiedlanie Żydów istotnie zostało wstrzymane. Ale kwestia powrotu wysiedlonych nie została załatwiona. Władze żądały, aby Żydzi z każdego miasteczka przedstawili zakładników odpowiedzialnych jako warunek powrotu. Oczywiście, że Żydzi nie mogli na to przystać, bo nie są oni nigdy gwarantowani od prowokacji, za którą by odpowiadali zakładnicy. Poza tym, powrót z ciągłą groźbą ponownego wysiedlenia – to niewielki zysk. Nędza śród wysiedlonych rzecz Żydów – nieopisana. Tysiące tu ich się gnieździ z Wiłkomierza i okolicznych miasteczek. Wegetują w przytuliskach doraźnych, w brudzie, żywiąc się tylko śledziem i chlebem, leżąc pokotem jak stado najpodlejszych bydląt. Biedacy! To jest święta krzywda.

14 (27) maja, rok 1915, czwartek
Depesza wodza naczelnego stwierdza tylko znowu, że walki uporczywe odbywają się na froncie galicyjskim. Przed kilku dniami wódz naczelny komunikował, że Niemcy przeszli w Galicji do obrony i zaniechali ofensywy, a prasa rosyjska triumfowała z tego powodu, mówiąc o „udaremnieniu“ galicyjsko-karpackiej akcji niemieckiej i przedstawiając ruch Rosjan w klinie między Sanem a Wisłą pod Tarnobrzegiem za olbrzymi sukces strategiczny, stanowiący bodaj moment zwrotny na rzecz ofensywy rosyjskiej. Tymczasem teraz oto znowu ataki niemiecko-austriackie się ponawiają. O Żmudzi depesza wyraża się dość lakonicznie, stwierdzając, że wybitnych zmian nie ma. Pogłoski natomiast napływają znów na niekorzyść Rosjan. Przed kilku już dniami była w depeszach wiadomość, że Kurszany są zajęte przez Rosjan, następnie przed paru dniami była wzmianka, że Niemcy utrzymują się na silnie ufortyfikowanej pozycji pod Bubiami, a oto dziś kursuje uporczywa pogłoska, powołująca się na Czerwony Krzyż, jako źródło, że Niemcy zajęli znów Szawle. Była dziś także pogłoska o wzięciu Przemyśla przez Austriaków, ale to niepewne.

Są już pierwsze wieści o wojnie włoskiej. Wczoraj były depesze o bombardowaniu przez austriackie torpedowce i aeroplany włoskich miast na wybrzeżu adriatyckim, dziś jest biuletyn wojenny włoski o działaniach lądowych na granicy. Ciekaw jestem wypadków tej nowej wojny.
Dziś ostatni mój dzień w Wilnie. Wyjeżdżam. Na razie jadę jeszcze do Wiązowca i Łowcewicz do Elwiry, stamtąd za parę dni do Mińska, a już stamtąd zapewne wprost do Odessy dla wizy paszportu u konsula rumuńskiego i już z Odessy za granicę. Do Łowcewicz odprowadza mię Maryńka. Co mię czeka w tej podróży, jakie losy stają przede mną otworem? Wiem, czego chcę i ku czemu dążę, ale nie wiem, co się stanie! Żegnam Wilno, żegnam w nim Aninkę i jej pamiątki. Wszak sam nie wiem – może jeszcze wrócę, może zamiary moje nie dadzą się spełnić z przyczyn niezależnych od mojej woli, których z góry przewidzieć nie mogę. Ale postanowienie mam mocne i będę usiłował je spełnić, a w takim razie nie jest wykluczone, że żegnam obecnie Litwę na zawsze. Gdym szedł dziś na cmentarz Aninki, może już po raz ostatni, miałem wizję, że oto nagle otworzą się wszystkie mogiły, wstaną nieboszczyki i napełnią cmentarz ludnym mrowiem, a ja pobiegnę na znane mi miejsce powitać Aninkę moją, dopóki się z tłumem nie zmiesza i w nim nie utonie; i ujrzę Aninkę, wypoczętą, różową, uśmiechniętą, śpieszącą do mnie swym krokiem nerwowym w przyśpieszonym tempie, z tym wyrazem zawstydzenia i radości, z tą promienistą ekspresją, z jaką śpieszyła do mnie zawsze na powitanie po dłuższym niewidzeniu się. Złuda próżna! Ale dlaczego to być nie może! W sferze czystej myśli i czucia nie ma żadnej racji, dla której by się to stać nie mogło. Ale cięższy mus ciała zabija spełnienie wizji ducha i robi je nieprawdopodobnym, niemożliwym. Żegnaj, mogiło Aninki, żegnajcie kości kochane, których już nie widzę pod ziemią, ale których bliskość czuję i wiem, gdy nad jej grobem stoję. Pożegnałem też pokój Aninki, nasz pokój przy ulicy Monastyrskiej. Pasemko złotawych włosków Aninki, dane mi przez nią jeszcze w roku 1911, biorę ze sobą w kieszonce na piersi. Biorę też małą odbitkę wizerunku główki Aninki z grupy pracowni Sapkowskiej z wiosny roku 1912.

15 (28) maja, rok 1915, piątek
Wyjechaliśmy z Maryńką wczoraj na noc z Wilna. Rano byliśmy w Radoszkowiczach. Spotkał nas na stacji Jasiek Podolski, który przyjechał po nas w karkach Sekundem. Powiedział, że Elwira i Ewa, Maryni córka, która bawi czasowo u Elwiry w Łowcewiczach, czekają na nas w miasteczku. Z miasteczka Radoszkowicz jechaliśmy dalej parą koni Elwiry we czterech – Elwira, Marynia, Ewa i ja. Na obiad przyjechaliśmy do Łowcewicz, gdzie obecnie mieszka Elwira. Stefana nie ma, wyjechał na parę tygodni do Bielcza na łąki, które tam dzierżawi od Pruszanowskich. Spędziłem resztę dnia w Łowcewiczach, wieczorem zaś, o zapadającym zmroku, wziąłem Brysia, który teraz także w Łowcewiczach siedzi, i powędrowałem z nim do Wiązowca na noc. Ciemno już było, gdym wszedł do lasu wiązowieckiego, toteż, choć dobrze znam las, błądziłem trochę. W Wiązowcu mieszka teraz tylko Biesiekierska sama z dziećmi. Prócz kur, nie ma żadnego żywego stworzenia przy sobie. Toteż się lęka w tej samotności, a na noc zaprasza zawsze parę dziewcząt i chłopców z wioski Trusewicz albo od Czebatora – dla bezpieczeństwa. Biesiekierska jest pokłócona z Elwirą i Stefanem. Stefan chciałby się jej pozbyć z Wiązowca, toteż zaczął ją szykanować od początku. Biesiekierska, nie przywykła do takiego traktowania jej i uważając siebie w prawie do siedzenia w Wiązowcu, a może też licząc na poparcie moje, zaczęła się dość ostro, a przynajmniej samodzielnie stawiać wobec Stefana, co go przyprawiło o wściekłość. Stąd zaczęły się konflikty i wzajemne szykanowanie się, a kilkakrotnie nawet awantury. Stefan bądź co bądź był w tym „pojedynku" silniejszy, toteż

Biesiekierska wyszła gorzej. Siedzi teraz jedna; Jaśka zabrali Mieczkowscy do Łowcewicz, Brysia także; krowę musiała Biesiekierska sprzedać; ale i ona też dokucza Mieczkowskim. Dokucza najbardziej tym, że siedzi i że nie wynosi się. W tym zatargu winne są z pewnością obie strony; gdy słuchać jedną, to zdaje się że ona ma rację, gdy zaś opowiada i skarży się druga, to wydaje się wcieleniem skrzywdzonej niewinności. Wiązowiec jakoś smutno wygląda. Pusto, chlew i odrynka martwe, w moim pokoju kilka pak i skrzyń drewnianych z rzeczami Mieczkowskich, na dziedzińcu nawiezione belki i gromady desek. Zresztą niewiele się tu zmieniło, ale może sama myśl o tym, że to już nie ten mój Wiązowiec, że nie jest on w moim ręku, jakim przywykłem go czuć, zniechęca mię jakoś do niego i sprawia wrażenie czegoś obcego, dalekiego od tego, czym był dawniej. Brak tu obecnie zagospodarowania w domu, brak jakiejś stałości. Biesiekierska siedzi tylko jedną nogą, sama z dziećmi i ani krowy, ani konia, ani Brysia, nic żywego, prócz kur. Jasiek Podolski – przeniesiony do Łowcewicz. Biesiekierska siedzi nie w charakterze gospodyni i to się wyczuwa. Wiązowiec robi wrażenie pustki bezpańskiej. Smutne wrażenie.

16 (29) maja, rok 1915, sobota
W pierwszych dniach marca, zamykając ostatni gruby tom mego dziennika – niedokończony – spodziewałem się rychło wyjechać za granicę. Upłynęło przeszło dwa miesiące i dopiero teraz wyjeżdżam. Zapowiadałem, że następny tomik dziennika, który miałem zacząć, będzie blady i bezbarwny, albowiem ze względów bezpieczeństwa chciałem unikać w nim wszystkiego, co dotyczy Niepodległości i co świadczy zwłaszcza o moich sympatiach i projektach. Nie zdołałem się jednak utrzymać na tym poziomie „neutralności". Zbyt gorąco mię obchodzą wypadki, zbyt jaskrawe są moje sympatie w tej katastrofie wojennej, bym mógł nie zdradzić siebie. Wprawdzie o osobistych moich zamiarach co do Legionów nie wspomniałem nigdy w tamtym następnym tomiku, ale niechęci do Rosji nie zdołałem ukryć. Tomik ten był krótki i prędko się zapełnił. Miałem już postanowienie w obecnym tomiku, postaci kajetowej, zachować dyskrecję; ale i tu tego zrobić nie zdołałem. Od razu w pierwszych dniach, jak tylko doszło do odczytu mego w Klubie Bankowym, podjąłem przyłbicę. Nie mogę więc spełnić tego, co w pierwszym dniu niniejszego zeszytu pisałem: kontynuować zeszyt niniejszy aż do wyjazdu za granicę włącznie. Jest bardzo możliwe, że na granicy ulegnę rewizji; nie jest się od tego w Rosji gwarantowanym nigdy, a cóż dopiero teraz, podczas wojny i szczególnie gdy się ma nazwisko o niemieckim brzmieniu, jak moje. Przerywam więc zeszyt niniejszy przed wyjazdem i składam go wraz z poprzednimi tomami dziennika u Elwiry dla przechowania – na jej opiece. Jadę więc z zamiarem służyć sprawie Niepodległościowej w tej, moim zdaniem, jedynej czynnej postaci, która jest żywą i wydaje plon – w Legionach. Ta idea, pomimo że się z nią w projektach moich oswoiłem od dawna, tak daleko odbiega od powszedniego toku życia tu u nas w kraju, nawet od trybu myślenia i bytowania tych, którzy są najgorętszymi wyznawcami Niepodległości, że zamiar mój mnie samemu wydaje się na zimno, w chwilach rozwagi, szaleństwem i czymś nierealnym, jak sen. Ale są przecie i działają Legiony nie jako sen, ale jako czynna ofiara krwi, konkretne dzieło. I dzieło to jest jedynym realnym, jedynym twórczym. Wolności zdobyć inaczej niepodobna, jak ofiarą czynną. Nigdy wyczekiwanie bierne, połączone z najlepszą wolą i najgorętszą wiarą, nie sprawi nagle cudu. Gdyby nawet czyn był chybiony, jak był już tylekroć w dziejach naszych, to i w takim razie ofiara nie będzie zmarnowana. Przysparza ona kapitału bohaterstwa i męki, które są w Narodzie zaczynem jego przyszłej Wolności. Bierność demoralizuje i oswaja z niewolą, sączy do krwi i do duszy pierwiastki niedołęstwa, które rozkładają ideę Wolności i umarzają akt jej spełnienia. A nigdy bodaj okoliczności zewnętrzne nie

sprzyjały w tym stopniu sprawie walki czynnej, jak w chwili katastrofy obecnej. Idę więc. Może nie będę w samych Legionach, bom już może za ciężki fizycznie i niezdatny, nie mając tresury do zbrojnego czynu, ale znajdzie się chyba zastosowanie dla moich sił i zdolności w czymkolwiek, co się bezpośrednio z Legionami łączy, tworząc jakiś element ich dzieła. Sił mam jeszcze dosyć, zdolności także, nie jestem więc tak biedny, bym nic do ofiarowania użytecznego nie miał. Chodzi tylko o to, aby je zużytkować; organizacja je weźmie i skieruje, dokąd uzna za stosowne. Aninko moja, z imieniem Twoim w sercu idę. Po śmierci Twojej zamiar mój dojrzał, a oto teraz gotów jest do wcielenia.

17 (30) maja, rok 1915, niedziela
Piękny czas. Śliczna jest wieś o tej porze. Pora zakwitania bzów, najpiękniejsza w roku. Szczególnie te leśne strony tutejsze są prześliczne. Aromat cudowny, widoki wspaniałe. Spędzam czas między Wiązowcem a Łowcewiczami: nocuję w Wiązowcu, dzień spędzam w Łowcewiczach; co dzień dwa razy dziennie odbywam wędrówkę pieszą, raz z Wiązowca do Łowcewicz i drugi – z powrotem. Litwa żegna mię najpiękniejszym czasem, całym urokiem barw, widoków i powietrza swego. Spędziłbym tu chętnie jeszcze dzionków kilka. Ale już nie mogę. Wyjeżdżam jutro. Jadę wpierw do Mińska, gdzie na jutro wyznaczony jest mój odczyt, powtórzenie odczytu z Klubu Rzemieślniczego i Klubu Bankowego. Przerywam więc ten mój dziennik i kończę. Nie mogę go brać ze sobą w podróż moją, bo jest kompromitujący. Składam go wraz z innymi u Elwiry, a już zacznę nowy zeszyt od jutra, z którym przejadę granicę.
Jadę pełny otuchy, choć nie wiem, co mię czeka. Co do środków działania, to nie umiem zdać sobie sprawy, jakie okażą się dostępnymi dla mnie tak, aby największą korzyść za siebie wydać dla sprawy. Da Bóg, że co do środków, to nie moja tu będzie głowa i nie ja decydować będę. Ale przekonanie, że decyzja moja jest dobrą i że nie błądzę, mimo że mi chwilami jest ciężko i troska opada – mam zupełnie mocne. Prosto więc het przed siebie. Nastał wielki czas czynu, pora ofiary. Dojrzał plon, niech żniwo nastanie! Anno moja – jak strzała z łuku, biegnę z ducha Twego i Ciebie, da Bóg, dosięgnę.
Jeszcze słówko ostatnie, już w innej materii. Na 24 i 25 maja starego stylu wyznaczony został w Petersburgu konwent masoński. W porządku dziennym konwentu i w zaprojektowanych wnioskach do rezolucji władze centralne związku ujawniły ultrakadeckie tendencje, podporządkowując oczywiście ruch masoński imperialistycznym aspiracjom liberalizmu rosyjskiemu. Będzie walka ostra; my występujemy z akcją radykalną, a niewykluczony jest nawet ewentualny rozłam. Wodą na kadecki młyn być nie możemy i nie chcemy. Od naszych dwóch wileńskich lóż – od „Litwy" i od „Białej Rusi" posyłamy Bułata i Zasztowta, dwa tarany gorącego radykalizmu do szturmowania kadeckich okopów. Kogo wyśle trzecia loża wileńska – nie wiem.

Michał Römer
17 (30) maja roku 1915
Wiązowiec